

Rok XXI

Nr e-11(208)

Listopad 2007

NA SZLAKU



**ODDZIAŁ WROCŁAWSKI PTTK
OFERUJE DO SPRZEDAŻY
NASTĘPUJĄCE WŁASNE WYDANE KSIĄŻKI**

1	Góry Stołowe - Krzysztof R. Mazurski	12 zł
2	Góry Złote i Łądek-Zdrój - Krzysztof R. Mazurski	16 zł
3	Karpacz (Krummhübel) und Umgebung - Krzysztof R. Mazurski	6 zł
4	Masyw Ślęży - Krzysztof R. Mazurski	12 zł
5	Masyw Śnieżnika i Góry Bialskie - Krzysztof R. Mazurski	15 zł
6	Miłość i dramaty królowej Marianny - Krzysztof R. Mazurski	20 zł
7	Na południe od Tatr - Jacek Kolbuszowski	30 zł
8	Od Kolonii do Krakowa - Jerzy Piekalski	10 zł
9	Od ojcowizny do ojczyzny - praca zbiorowa	20 zł
10	Ziemia Kłodzka. Część południowa - Krzysztof R. Mazurski	5 zł
11	Była taka broń - Eugeniusz Rachwański	15 zł
12	Kowel - Eugeniusz Rachwański	20 zł
13	Krzemieniec i okolice - Janina Gusłowska	5 zł
14	Lwowskie wczesne dojrzewanie - Adam Dotzauer	16 zł
15	Lwów - wspomnienia lat wojennych - Janina Augustyn Puziewicz	20 zł
16	Międzygórze i okolice - Krzysztof R. Mazurski	8 zł
17	Mudrahela - Adam Holonek	5 zł
18	O wrocławskich tramwajach - Jerzy Maciejewski	12 zł
19	Przestrzenie i krajobrazy - Jacek Kolbuszowski	6 zł
20	Pudełko lwowskich wspomnień - Witold Szolginia	5 zł
21	Rowerem z Wrocławia - Jerzy Maciejewski	13 zł
22	Sudety czeskie - Marek Staffa	2 zł
23	Sułów i okolice - Roman Jaśniewski	12 zł
24	Śląski Labirynt Krajoznawczy - red. Julian Janczak, nr 3	10 zł
25	j. w., nr 4	6 zł
26	j. w., nr 5	6 zł
27	j. w., nr 6	10 zł
28	j. w., red. Krzysztof R. Mazurski, nr 8	12 zł
29	Tamten Lwów V - Witold Szolginia	6 zł
30	Tamten Lwów VI - Witold Szolginia	6 zł
31	Tamten Lwów VIII - Witold Szolginia	8 zł
32	Zapach monsunu - Maria Sawicka	15 zł
33	1000 lat wrocławskiego sportu - Ordyłowski, Ostrowski	12 zł
34	Futbolistka - Mirosław Olędzki	10 zł
35	Geografia turystyczna Sudetów - Krzysztof R. Mazurski	20 zł
36	Moja medycyna - Augustyna Puziewicz	30 zł
37	Narciarstwo wędrowskie - Konrad Ostańkiewicz	10 zł
38	Pielgrzymy 2001	20 zł
39	Przez światy poetyckie Salomei Kapuścińskiej - Mirosław Olędzki	15 zł
40	Taki świat t. 1-3 - Andrzej Bartyński	30 zł
41	Wiersze dla dzieci - Anna Surmach	5 zł
42	Wróć, bo czereśnie - Andrzej Bartyński	10 zł
43	Znakowane szlaki w Karpatach Polskich - Andrzej Matuszczyk	14 zł

Przy sprzedaży wysyłkowej zostanie doliczona opłata pocztowa w zależności od ilości zamówionych pozycji.

Wszelkich informacji co do oferty udziela biuro

Oddziału Wrocławskiego PTTK

Rynek-Ratusz 11/12

50-106 Wrocław

Tel. 0713430344, e-mail: biuro@pttk.wroc.pl

NA SZLAKU

SPIS TREŚCI

Z naszego regionu		str. 2
Dwa dni w Górach Kamiennych	- Waldemar Andryszak	str. 2
Kalwarie	- Stanisław Jastrzębski	str. 4
Uciec przed gromem z nieba	-	str. 5
Karkonoska Samotnia	- Krzysztof R. Mazurski	str. 6
Ojczyste szlaki		str. 7
Druga przechadzka na Hel	- Kuba Terakowski	str. 7
Wołoszyn w letnim śniegu	- M. Juranek	str. 10
Władek	- Jerzy Głoskowski	str. 11
Udręka Karkonosza	- Ludmiła Gajczewska	str. 11
Trasa miesiąca		str. 12
Jiraskową cestą przez Góry Orlickie	- Artur Cierniak	str. 12
Konkurs na limeryki turystyczne	- JKB	str. 13
Globtroter		str. 14
Na Węgry po gorące złoto	- Ryszard M. Remiszewski	str. 14
Czeskie nowinki	- Stanisław Dziuba	str. 16
Inkaska kraina	- Krzysztof R. Mazurski	str. 16
Wędrówki po austriackich Alpach	- Krzysztof R. Mazurski	str. 18
Z turystycznych kręgów		str. 19
Kopalnia złota	- M. Suszyński, T. Śnieżek	str. 19
Znowu byliśmy na Turbaczu	- Julek Wystouch	str. 21
VIII Spotkanie Śladowe	- Andrzej Stróżecki i Juliusz Wystouch	str. 22
Najlepszy podmiot	- Marta Zawila-Pilat	str. 22
Ekologia na szlaku		str. 23
Już 3000 drzew	-	str. 23
Nie będzie elektrowni	- Biuro Prasowe Wojewody D.Śl.	str. 23
U kresu wędrówki		
Miejsca pamięci – Bykownia	- Maria Litwiniak	str. 24
Poradnik turysty		str. 26
Nie szata	- Julek Wystouch	str. 26
Na kolekcjonerskim szlaku		str. 28
Kolekcjonerstwo krajoznawcze	- Adam Czarnowski	str. 28
Recenzje, nowości		str. 30
Piąte wydanie	- Redakcja	str. 30
Szczytowanie w Polsce	- Krzysztof R. Mazurski	str. 31
Twórca niebanalny	- Internet	str. 32
Listy, opinie, dyskusje		str. 34
Bo w Zakopanem	- Jan Wieczorek	str. 34
Protokół posiedzenia Jury	-	str. 35
Stopka redakcyjna		str. 36

Na okładce: Lodowe chłopki na peruwiańskim Altiplano. Fot. Krzysztof R. Mazurski.



DWA DNI W GÓRACH KAMIENNYCH

Jest pochmurny, letni poranek. Stoję przy kiosku spożywczym nieopodal stacji kolejowej w Boguszowie-Gorcach i z niepokojem obserwuję niebo. Przesuwające się po nim ciemne chmury nie wróżą niczego dobrego, w każdej chwili może zacząć padać deszcz. Za chwilę powinni nadejść moi turystyczni partnerzy, z którymi umówiłem się na dwudniową „wyprawę” w Góry Kamienne. Mamy zamiar zatrzymać się na nocleg w schr. PTTK „Andrzejówka”, przedtem jednak czeka nas wielogodzinna wędrówka ścieżkami przez kilka mniejszych i większych wzniesień. Jeszcze kilka minut oczekiwania i witam się z moimi przyjaciółmi, którzy do Boguszowa dojechali autobusem.

Ruszamy na szlak. Prowadzeni zielonymi znakami oddalamy się coraz bardziej od centrum górniczego miasteczka, za to zbliżamy do pierwszego celu naszej dzisiejszej wędrówki – masywu Dzikowca. Z asfaltowej szosy schodzimy na szutrową, leśną drogę. Na skraju lasu dostrzegamy tablicę ostrzegawczą przed spotkaniem ze żmiją. Tego ostrzeżenia nie wolno lekceważyć. Już od kilku tygodni pojawiły się przecież w środkach masowego przekazu informacje o wyjątkowo dużej ilości tych jadowitych wężów na obszarze byłego woj. wałbrzyskiego. Musimy być ostrożni. Przez kilkaset metrów idziemy prawie płaskim terenem wśród wysokich świerków. Dopiero później szlak zaczyna piąć się nieco w górę, co oczywiście osłabia tempo marszu. Jesteśmy na zboczu Dzikowca, do szczytu jednak jeszcze kawałek drogi. Wspinając się dość stromą ścieżką mijamy krzewy malin. Nie możemy sobie odmówić spróbowania dojrzałych owoców, więc zatrzymujemy się przy „maliniaku” na kilka chwil. Jeszcze około dwudziestu minut drepczemy pod górę, by wreszcie dotrzeć do szczytu Dzikowca Wielkiego. Zatrzymujemy się, aby nieco odetchnąć, a przede wszystkim popatrzeć na rozległą panoramę okolicy. Widać z tego miejsca doskonale kopułę Chełmca z charakterystyczną wieżą przekaźnikową oraz leżący u jego stóp Boguszów. Szkoda, że dzień jest pochmurny, bo w promieniach słonecznych panorama prezentowałaby się zapewne jeszcze okazalej. Schodzimy z Dzikowca stromo w dół. Teraz trzymamy się już niebieskiego szlaku, który ma nas zaprowadzić na Lesistą Wielką. Na razie czeka nas jednak jeszcze niewielkie wzniesienie o nazwie Sokółka. Kamienny słupek ustawiony na szczycie informuje, że Sokółka ma 800 m wysokości, podczas gdy na mapie jest ona o jeden metr wyższa. W końcu docieramy do rozległej polany otoczonej ze wszystkich stron drzewami. To wierzchołek Lesistej Wielkiej. Pierwszy etap naszej dzisiejszej wędrówki mamy za sobą. Rozsiadamy się wygodnie na świeżo ściętych drewnianych kłodach. Czas na drugie śniadanie.

Pół godziny później znów jesteśmy w drodze. Teraz wędrujemy żółtym szlakiem, przez Lesistą Małą do Unisławia Śląskiego. Dalej będziemy się wspinąć na Stożek Wielki – szczyt, na którym nikt z naszej trójki jeszcze nie był. Wspinaczka na Stożek nie należy do łatwych. Ścieżka, którą poprowadzony został żółty szlak, jest bardzo stroma, a na dodatek po ostatnich deszczach mokra i miejscami śliska. Nie da się na tym odcinku bić rekordów szybkości. Przynajmniej nie dzisiaj. Wędrówka na szczyt trwa kilkadziesiąt minut, za to wysiłek zostaje nagrodzony wspaniałą panoramą okolicy, którą możemy teraz maszyn Trójgarbu, nieco bliżej natomiast niedawno wędrowaliśmy – Dzikowiec podnóża Stożka, obserwujemy takiego widoku warto było podjąć trud raz tu jeszcze wrócimy.

Na razie jednak czas ruszać w dalszą żółtym szlakiem i po godzinie dostrzegamy Sokołowsko to dość duża wieś leżąca w będąca uzdrowiskiem. Dawniej leczono tu specjalizuje się w profilaktyce i leczeniu światłości miejscowość przeżywała przede mann Brehmer uruchomił tu pierwsze na



Wieża na Stożku Wielkim.

drogę. W dalszym ciągu maszerujemy pierwsze zabudowania Sokołowska. rozległej kotlinie nad potokiem Sokołowiec, gruźlicę, natomiast obecnie uzdrowisko schorzeń górnych dróg oddechowych. Lata wszystkim w 2 poł. XIX w., kiedy to dr Her świecie specjalistyczne sanatorium dla cho-

rych na gruźlicę i zastosował w nim nowatorską metodę leczenia klimatyczno-dietetycznego. Sokołowsko zyskało wówczas ogromnie i nazywano je nawet „śląski Davos”. Zjeżdżali tu kuracjusze z wielu krajów, powstawały też nowe sanatoria i pensjonaty. Obecnie miejscowość w niczym nie przypomina dawnego centrum leczniczego. Kuracjuszy prawie nie widać. Wokół ponuro i smutno. Idąc główną ulicą z przykrością przyglądamy się budynkowi najokazalszego niegdyś sanatorium „Grunwald”, które popadło w ruinę. Nadal wędrujemy żółtym szlakiem, który przez ruiny

zamku Radosno ma nas zaprowadzić do schr. „Andrzejówka”. Sokołowsko już dawno za nami. Ścieżka coraz bardziej zagłębia się w las i, w miarę upływu czasu, coraz bardziej też pnie się w górę. Ostatnie kilkadziesiąt metrów prze ruinami zamku to już prawdziwa wspinaczka.

Ruiny Radosna ograniczają się w zasadzie do kamiennej, cylindrycznej wieży o średnicy około 7 m, sięgającej do wysokości 9 m, oraz fragmentów muru obwodowego. I przy tak niewielkich pozostałościach trudno jest nawet odtworzyć pierwotne założenie budowlane. Wiadomo natomiast, że zamek powstał najprawdopodobniej w końcu XIII w. i że był jednym z najwyższych położonych zamków sudeckich (zbudowano go na wysokości 776 m). Oglądamy ruiny i próbujemy wyobrazić sobie, jak wyglądało tu życie przed wiekami. Robi się coraz chłodniej, a i zmęczenie daje już znać o sobie. Marzymy o odpoczynku, ciepłej kąpieli i kolacji. Jeszcze dwadzieścia minut niezbyt forsownego marszu i stajemy przed budynkiem „Andrzejówki”. Obiekt istnieje od 1933 r. i posiada 100 miejsc noclegowych, został zbudowany na Przeł. Trzech Dolin. Tu właśnie odbywa się każdego roku w lutym lub marcu w zależności od warunków śniegowych) masowa impreza narciarska pod nazwą „Bieg Gwarków”. W schronisku prawie pusto. Załatwiamy formalności związane z zameldowaniem i udajemy się do pokoju. A gdy za oknem widać zapadający zmrok, siedzimy przy herbacie, dzieląc się wrażeniami z kończącego się właśnie dnia i zastanawiając się, co też nas czeka jutro.

Nazajutrz wstajemy dość wcześnie i już kilka minut po godzinie ósmej wychodzimy. Pogoda podobna do wczoraj – pochmurno i dość chłodno. Rezygnujemy jednak na razie z założenia na siebie cieplejszych ubrań, bo pierwszy odcinek naszej dzisiejszej wędrowki jest bardzo stromy i na pewno szybko się rozgrzejemy. Wchodzimy mianowicie na Waligórę żółtym szlakiem z Przeł. Trzech Dolin. Waligóra to najwyższy szczyt całych Gór Kamiennych o wysokości 936 m, o czym informuje napis na kamiennym słupku ustawionym na wierzchołku. Ma bardzo strome zbocza, przy czym najstrome jest południowe, tędy po którym prowadzi szlak. Chwila oddechu i ruszamy w dalszą drogę. Schodzimy ze szczytu na zachodnią stronę i zmieniamy nieco kierunek naszej wędrowki. Teraz maszerujemy niebieskim szlakiem do Mieroszowa. Tak daleko nie zamierzamy jednak się zapuszczać. Początkowo łagodnie podchodzimy na Suchawę, następnie strome zejście na niewielką przełęczkę i znów pod górę – tym razem na szczyt Kostrzyny. Jeszcze jedna przełęczka i jeszcze jedno strome podejście. Stoimy na szczycie Włostowej (tylko o 35 m niższej od Waligóry) i obserwujemy wspaniałą panoramę. W dole doskonale widoczne zabudowania Sokołowska i całą dolinę, wzdłuż której ciągnie się wieś. Nad miejscowością strzelające w górę Stożki, po prawej stronie Krzywucha, a nieco dalej budynki Unisławia. Widać też długi odcinek drogi, którą niebawem będziemy przemierzać.

Bardzo stromą i niewygodną ścieżką schodzimy z Włostowej do Sokołowska. Na skraju wsi podchodzimy na chwilę do niewielkiego odnowionego budynku z charakterystyczną wieżyczką. To cerkiew prawosławna pod wezwaniem Św. Archanioła Michała. Jak informuje tablica, umieszczona przed świątynią, cerkiew zbudowana została w 1901 r. staraniem bractwa Św. Włodzimierza dla kuracjuszy przybywających do miejscowego uzdrowiska. Cerkiew służyła wiernym do lat dwudziestych. Potem jej wyposażenie zostało wywiezione w nieznaną. Po wojnie światowej, porzucona i zapomniana, uległa dewastacji. Od 1980 r. do sierpnia 1996 r. stanowiła własność prywatną jako dom letniskowy. Staraniem parafii prawosławnej Św. Cyryla i Metodego we Wrocławiu została odkupiona i przywrócona, po generalnym remoncie, do pierwszego przeznaczenia. Od kwietnia 1997 r. odbywają się w niej nabożeństwa. Cerkiew pełni funkcję świątyni filialnej parafii prawosławnej we Wrocławiu. Oglądamy cerkiew z zewnątrz, jednak na poszukiwania klucza i wejście do świątyni nie mamy czasu. Może uda się to następnym razem. Przecinamy główną ulicę Sokołowska i za zielonymi znakami podążamy polnymi drogami do Unisławia Śl. Niestety, zaczyna padać.

W Unisławiu już po raz ostatni zmieniamy kolor szlaku, którym idziemy. Ponownie prowadzą nas zn. niebieskie. Ten ostatni odcinek wycieczki nie jest już specjalnie atrakcyjny. Szlak prowadzi trochę lasem, a trochę mokrymi od deszczu łąkami. Przez Gliniczek i Barbarkę docieramy po prawie dwóch godzinach marszu do Wałbrzycha. Trochę przemoczeni i zziębnięci, ale zadowoleni. To były naprawdę udane dwa dni w Górach Kamiennych.

Nasuwa się tylko pytanie: dlaczego te góry takie puste? Przez dwa dni naszej wędrowki nie spotkaliśmy na szlaku ani jednego turysty. A szkoda, bo tereny te są do aktywnego wypoczynku wprost wymarzone.



Tekst: *Waldemar Andryszak*
Foto: *Krzysztof R. Mazurski*

KALWARIE DOLNOŚLĄSKIE

Najpierw nieco historii. Praktyka nabożeństwa Drogi Krzyżowej, zawierającej czternaście stacji, ukształtowała się ostatecznie w 2 poł. XVIII w., z poprzedzających ją licznych nabożeństw pasyjnych. Jeszcze w końcu XVI w. nie istniała żadna wzmianka o odprawianiu tego nabożeństwa, co potwierdzają m.in. relacje polskich pielgrzymów do Jerozolimy – Jana Górzyńskiego i Mikołaja Radziwiłła „Sierotki”.

Kalwaria – Góra Czaszek, to skaliste wzniesienie nad Jerozolimą, na którym został ukrzyżowany Chrystus (łac. *calva*: czaszka). Kalwarią nazywa się też zespół sakralny poświęcony kultowi Męki Pańskiej, odtwarzający symbolicznie jej przebieg. Liczy on zwykle czternaście kaplic (ostatnio 15), acz te najsłynniejsze zespoły miewają ich po kilkadziesiąt. Najbardziej znana w Polsce to na pewno Kalwaria Zebrzydowska, położona nieopodal Krakowa. Jej fundatorem był Mikołaj Zebrzydowski, wojewoda krakowski, a cały zespół wzorowano w miarę wiernie na okolicach Jerozolimy. Pierwsza kaplica stanęła tam w 1601 r. W 1628 r. rozpoczęto budowę kalwarii w Pakości, a w ciągu trzech lat, od 1668 po 1671 r. powstawała kalwaria nad Wiarem, koło wsi Paclaw, przynależnej do rodziny Fredrów. W sudeckich Wambierzycach kalwarię wybudowano w latach 1681-1706. Na Górze św. Anny na środkowym Śląsku od 1714 r. zbudowano zespół liczący dziś 33 kaplice. Również okazałą kalwarię koło Krzeszowa zbudował w lat osiem, od 1672 r. opat Bernard Rosa. Natomiast zespół kalwarii połączony z Drogą Siedmiu Boleści Matki Boskiej w Bardzie zaczęto budować w 1769 r. Nieco wcześniej, bo w 1740 r. nieopodal cysterskiej wsi Męcinka koło Jawora powstała Droga Krzyżowa na górę Górzec. Choć niewielka, jest znacznie starsza od bardziej znanej kalwarii w Trzebnicy — Bukowym Lesie (1848-50), czy w słynnych Piekarach Śląskich (1890).

Dolny Śląsk, z szerokim sięgnięciem w głąb Opolszczyzny, może się pochwalić liczbą około 85 kalwarii, z których znaczna część powstawała w XIX w., kilkanaście w XX, a kilka już w obecnym stuleciu. Dysponuję wiadomością, iż liczba ta niebawem powiększy się o dwa bądź trzy obiekty. Z braku miejsca wspomnę tu tylko niektóre, głównie zresztą małe, często otaczające kościół, czasem usytuowane poza nim, wykorzystujące, o ile to możliwe naturalne wzniesienia tak, by XII stacja „Śmierć na krzyżu” usytuowana była najwyżej.

Po okresie PRL, gdy nie zezwalano w zasadzie na odnawianie obiektów położonych z dala od kościoła parafialnego, co doprowadziło szereg z nich do prawie kompletnej dewastacji, w której zresztą czasami brały udział czynniki oficjalne (Złoty Stok, Rudawa), dziś nie tylko znaczna ilość Dróg Krzyżowych jest odnowiona, co i powstała zadziwiająco duża liczba obiektów nowych, związanych głównie zresztą z ogrodami przyklasztornymi (Polanica-Zdr., Wierzbice, Św. Katarzyna) bądź cmentarzami przykościelnymi, czego nie ma potrzeby tłumaczyć, zważywszy na rozpanoszone złodziejstwo i brak poszanowania tzw. obiektów wolnostojących, pozbawionych opieki przez 24 godz. na dobę (Pszemno, Wrocław-Sołtysowice). Za przykład negatywny niech posłuży pięknie odnowiona i wyposażona w kryte plexiglasem obrazy kalwaria w Pławnej Średniej. W kilka lat po tym fakcie spora ilość „szyb” została ukradziona, a obrazy płowiąły od wpływów atmosferycznych. Zaś renowacji dokonał na koszt własny były właściciel ziemski z Pławnej, narodowości niemieckiej... Podobny los spotkał położony za miejscowością zespół Drogi Krzyżowej i kaplicy nad Nową Rudą-Słupcem. Tu, na szczęście, dzięki inicjatywie księdza i zaangażowaniu zarówno kard. Gulbinowicza, jak i strony niemieckiej obiekt odbudowano, ogrodzono i jest obecnie strzeżony. Na szczęście stał się nowym, odwiedzanym ośrodkiem pielgrzymkowym. Niestety, zapewne nie doczeka się renowacji w dającej się przewidzieć przyszłości całkowicie zdewastowana (w postępującym procencie) bogata w obiekty Droga Krzyżowa na Św. Górę koło Lubawki, acz ze skromniejszym, ale też leżącym na uboczu zespołem przy leśnym kościele, z którą „poradzili” sobie niezamożni, ale zaangażowani mieszkańcy Chełmska Śl. i okolic.

Do ewenementów zaliczyć można zbudowaną samodzielnie przez ks. K. Piwowarczyka Drogę Krzyżową na wzgórzu koło kościoła w Sadach Grn. Mimo „najść” ze strony władz komunistycznych, zbudował ją z kawałków nagrobków i własnoręcznie malowanych obrazów. Na szczęście, rzeczony wzgórze należało do parafii... Podobną historię ma kalwaria w Złotym Stoku, nad kamieniołomem, odbudowana własnym trudem wraz z kaplicą przez Ryszarda Milusińskiego (od 1975). Już w latach dwutysięcznych odnowiono zdewastowaną i niekompletną kalwarię koło słynnego manierystycznego kościoła w Żurawinie.

W 2001 r. na pamiątkę Krzyżowej Drogi Górniczego Trudu powstaje pierwsza w nowym tysiącleciu kalwaria z Boguszowa-Gorców na Chelmiec. Cieszy oko oryginalna kalwaria przez las, ku cmentarzowi w Krośnicach koło Grabowna Wlk. Ładnie odnowiono nietypową Drogę Krzyżową z Sycowa do wsi Św. Marek, jak i cmentarną w Głogowie. Powstawały one w 1 ćw. XX w. Odmalowano też po raz wtóry obrazy Drogi Krzyżowej w Grodowcu nieopodal Głogowa, zadbana jest kalwaria w Górze, na cmentarzu, przy kościółku wyposażonym w tzw. Święte Schody. Odnawia się sukcesywnie szeroko rozrzucona po polach i lesie kalwaria przy krzeszowskim sanktuarium. W Strzegomiu miejscowi właściciele zakładów kamieniarskich w 2001 r. ufundowali „Drogę” od kościoła Św. Piotra i Pawła na Górę Krzyżową, przez całe miasto. Powstało szereg kalwarii przykościelnych, że wymienię Kielczyn, Łozinę, Pszenno, Gierałce, Strzelin czy Stobno. Po raz drugi odnowiono, tym razem solidniej, nieco poszerzoną Drogę Krzyżową w Kłodzku, w Mariańskiej Dolinie. Pięknie prezentuje się kalwaria na Szwedzkiej Górze k. Przydroża Mł., na Opolszczyźnie, odnowiona kalwaria na G. Chrobrego w Głucholazach czy trzy kalwarie w Nysie, w tym największa przy leśnym kościele na Św. Rochu. A oryginalną Drogę Krzyżową w Rudziczce-Zimnych Kątach znają szeroko mieszkańcy okolic Prudnika, gdzie w miejscu uwięzienia kard. S. Wyszyńskiego również mamy rzeźbioną w drewnie kalwarię. Nasi księża ukończyli oryginalną, skalną Drogę Krzyżową w Szczytniej, jak też odnowiono starszą, tradycyjną przy leśnym kościółku w Batorowie. Słynna jest przykościelna Droga Krzyżowa w Starym Wielisławiu, ma też swoje Wrocław (Osobowice, Karłowice – przy szpitalu, Sołtysowice). Odnawiana jest starannie znana Droga Krzyżowa przy kaplicy MB Wspomożenia Wiernych na Górze Cierniak k. Radochowa. Nie wymieniając wszystkich, wspomnę tylko takie, o których prawie nikt nie wie – mocno podniszczone, jak w Wójtowicach, nad Porębą, w lesie koło Niemila, koło Oleśnicy Małej, w Niedamirowie czy Młynowcu bądź k. Ścinawy Mł. Kto pamięta małe kapliczki na Wieżycy w Masywie Ślęży? A nie wspomniałem o Drodze Krzyżowej we Wschowej, o Sławniowicach, Wilkowie, Szklarskiej Porębie, Iglicznej czy Bodzanowie, Muszkowickim Lesie Bukowym, Mroczkowej, Janowej czy ukrytej w lesie koło Bolesławowa szczątkach kalwarii górskiej, bądź jej „sąsiadce” z Młynowca. Że nie wspomnę o zupełnie zaginionych, jak na Szczeliniec Wlk. z Pasterki...

Stanisław Jastrzębski

UCIEC PRZED GROMEM Z NIEBA

Jeśli w czasie burzy jesteśmy w górach, zejźmy możliwie nisko i poszukajmy zagłębienia, w którym można się ukryć. Gdy jesteśmy na równinie, starajmy się nie zbliżać do wysokich, pojedynczo rosnących drzew, słupów, metalowych elementów konstrukcyjnych, a nawet do znaków drogowych. Jeśli widzimy tu i ówdzie rosnące drzewa, to starajmy się znaleźć pomiędzy dwoma rosnącymi w odległości nie mniejszej niż 15-20 m od siebie. Warto też wiedzieć, że na sto uderzeń pioruna ponad 50 przypada na dęby, ponad 20 na topole, 10 na jodły i 6 na sosny. Bezpieczniejsze są lipy i akacje, a najlepiej, gdy w pobliżu są tylko klony i brzozy, w które rzadko uderza piorun.



Foto: *Michael Nichols – Grand Canyon (2006)*

KARKONOSKA SAMOTNIA

Nie, nie chodzi o jakąś pustelnię czy obiekt typu ermitażu. To jedno z najstarszych – na pewno, jeśli chodzi o tradycję, a nie ulega wątpliwości, że co najmniej jedno z najpiękniejszych schronisk w polskich Sudetach. Zapiska już z 1670 r. mówi, że stała w urokliwym kotle Małego Stawu karkonoskiego buda strażnika. Jego zadaniem była ochrona hodowli pstrąga w tych górskich wodach. Zaczęli zatrzymywać się w niej na popas i nocleg wędrowcy na Śnieżkę, których przybyło po wybudowaniu na niej kaplicy. W 2 poł. XIX w. powstał tu nowy obiekt, stale zmieniany, i zastąpiony według projektu jeleniogórskich braci Albert w latach 1922-23. Ostateczny kształt i kubaturę schronisko zyskało w 1934 roku. Po zjednoczeniu PTT i PTK to pierwsze wniosło je do PTTK i ciągle służy turystom mimo wpisania do rejestru zabytków. To oczywiście komplikuje remonty i modernizacje, choćby trwającą w 2007r. wymianę gontów na „gontopodobne”. Towarzystwo zbudowało w obiekcie – jako pierwszym, biologiczną oczyszczalnię ścieków już w 1974 r. Kłopotów nie brakuje, bo potrzeba tu



sporych środków. Ot, choćby okresowy problem z wodą. Renomę i ogromną sympatię prawdziwych turystów, takich, którzy potrafią ocenić trud prowadzenia schroniska górskiego, zapewnił powszechnie lubiany Waldemar Siemaszko, wielki miłośnik gór, przyrody i turystów, który zginął wskutek niedopatrzania władz Karpacza w 1994 r. Ale rzecz została w rodzinie: obiekt dzierżawi teraz wdowa po nim – Sylwia Siemaszkowa. Od pewnego czasu dzielnie sekunduje jej córka – Magdalena Siemaszko-Arcimowicz. Obie panie dzielnie sobie radzą, na przekór wielu trudnościom. I chyba rośnie im nowy współpracownik w osobie wnuczka. „Samotnia” przyciąga turystów, zwłaszcza tych plecakowych, nocujących w niej, swoją urodą, ale i nadzwyczaj sympatyczną obsługą ze strony całego personelu. Tu też odbywają się różne szkolenia ludzi gór i atrakcyjne imprezy, jak choćby obozy sylwestrowe o urozmaiconym programie. Już teraz warto się nań zgłosić!



Tekst i foto:
Krzysztof R. Mazurski



DRUGA PRZECHADZKA NA HEL DZIENNIK WYPRAWY (2)

16.06.2005

Ruszamy asfaltem na wschód, nie popełniam wrześnieowego błędu i przy Kanale Jamieńskim schodzimy nad Bałtyk. Wędrujemy plażą do Łazów, wstępujemy do sklepu i wracamy nad morze. Idziemy piaskiem do Dąbkowic. I znów jest magicznie – pusta plaża, słońce, błękit. Tym razem wchodzimy do Dąbkowic „legalnie” (poprzednio sforsowaliśmy podwórku zabudowań Urzędu Morskiego) i nie lekceważymy ławeczki-huśtawki nad jeziorem Bukowo – ta sielanka mogłaby trwać wiecznie. Z trudem opuszczamy to zaczarowane miejsce i wąską dróżką zmierzamy do Dąbek. Stąd znowu plażą w kierunku Darłówka. Odcinek okazuje się dość trudny, bo piasek jest „ciężki” i grząski, a ubity pas w strefie przyboju ryzykowny z uwagi na wysokie fale. Wyciągam kijki, ulga jest wyraźna. Krysi zaczynają dokuczać pierwsze bąble, boją ją też plecy, a do adidasów wciąż sypie się piasek. Wędruje jednak bardzo dzielnie.



Zgodnie stwierdzamy, że „nie ma jak przerwa” i miłe pół godziny spędzamy na plaży tuż przed Darłówkiem. Przy wejściu do miasteczka wyjątkowy tłum, grupa nastolatków komentuje moje kijki uznając je za narciarskie. Korepetycji nie udzielam. Omijamy wrześnieowy „slums za dychę”, lecz ceny innych kwater okazują się dość wysokie. Dopiero za trzecim razem znajdujemy przyzwoity nocleg za 25 zł od osoby.

17.06.2005

Dzwonię do komendanta poligonu, potwierdza zgodę na przejście plażą z Jarosławca do Ustki. Etap ulgowy, tylko 16 km. Startujemy dopiero o godz. 10. Jak na optymistyczne prognozy pogody, niebo jest niepokojąco

zasnute. Idziemy szlakiem, po kilometrze zauważamy pierwszy spychacz blokujący ścieżkę, chwilę potem widzimy kolejne. Robotnicy informują nas, że przejścia nie ma, a szlak tu „dopiero będzie”. To dziwne, bo w zeszłym roku już tu był. Zatrzymujemy się w Wiciu – nawet w tym przysiółku ruch jest dzisiaj znacznie większy niż we wrześniu. Zaczyna kropić, siadamy pod daszkiem. Pół godziny mija niepostrzeżenie. Ruszamy i... przestaje padać. Tym razem, zamiast wejść do Jarosławca po trzykilometrowym pasie startowym, wchodzimy plażą, czyli po falochronie ciągnącym się w nieskończoność. Idziemy na znajomą kwaterę. Zostajemy rozpoznani – Krysia też, chociaż to Kasia nocowała tu we wrześniu. Jestem zaskoczony tym, jak doskonale pamiętają nas gospodarze. Płacimy po 15 zł za pokój z dwoma telewizorami, w sąsiednim stoją cztery – ciekawe, ile tam kosztuje nocleg... Wychodzimy po zakupy. Pada! Zdążyliśmy pod dach w ostatniej chwili.

18.06.2005

Punktualnie o ósmej meldujemy się na wartowni poligonu. Podobnie jak we wrześniu już się nas spodziewają. Podajemy dane i wchodzimy. Przez blisko dwie godziny wędrujemy absolutnie pustą plażą w słońcu i błękitcie. Zachmurza się nagle i niespodziewanie. Jest coraz zimniej i wietrzniej, lecz na szczęście nie pada. Mijamy kilka wojskowych samochodów, podchodzi do nas dwóch żołnierzy. Pierwszy każe jak najszybciej przejść przez poligon, bo za moment zamierzają detonować niewypały, drugi ma wątpliwości, czy w ogóle nas przepuścić. Długo tłumaczę, że mamy pozwolenie na przejście. Tuż po naszym odejściu za plecami słyszymy wybuch...

Dochodzimy do ujścia kanału Potyni. Własnym oczom nie wierzę: we wrześnie delta była niemal zupełnie niedrożna, a teraz bez woderów nie sposób przeprowić się na drugi brzeg. Bezskutecznie próbujemy przejść boso, lecz na środku nurtu jest zbyt głęboko, woda nazbyt rwąca, a dno grząskie i niepewne. Na szczęście, sto metrów w głąb poligonu jest most, korzystamy z niego chyłkiem, gdyż mamy zakaz oddalania się od plaży. Po kolejnej godzinie wchodzimy do Ustki. Zakupy, ławeczka pod komendą policji i ruszamy dalej. Dzwoni Danusia, jest jeszcze w Poddąbiu i zaprasza do siebie. Mamy już jednak zarezerwowany nocleg w leśniczówce w Orzechowie, więc nie chcemy robić zamieszania rezygnując z kwatery. Leśniczy przyjmuje nas życzliwie i... znika, zostawiając dom pod naszą opieką. Ciche, słoneczne popołudnie spędzamy między pokojem, kuchnią a podwórkiem leśniczówki.

19.06.2005

O czwartej rano Krysię budzi ból zęba. Zążywa pigułkę, lecz nie śpi już do rana. Startujemy jak zwykle – chwilę po ósmej. Idziemy czerwonym szlakiem poprowadzonym tu bardzo śmiało tuż przy krawędzi klifu. W dole huczy Bałtyk, nad nami korony drzew i bezchmurne niebo. Zostaję na moment z tyłu, po czym bezskutecznie próbuję dogonić Krysię. Zastanawiam się, jak szybko musi iść skoro nie mogę jej złapać? Przecież obiecała zwolnić! Wysyłam z komórki umówiony sygnał oznaczający „zatrzymaj się”. Krysia dzwoni mówiąc, że wolniej posuwać się nie może. Czuję się zdezorientowany – czy w tajemniczy sposób wyprzedziłem Krysię wędrującą tym samym szlakiem? Czekam i rzeczywiście – po kilku minutach przychodzi. Nie wiem jak to się stało.

Chwilę później słyszymy znajome „witajcie”. To Danusia (rodem z Zawoi) wyszła nam naprzeciw. Zaprasza na śniadanie „do siebie”, czyli do ośrodka wczasowego, w którym pracuje. Potem idzie z nami do Rowów, niosąc Krysi plecak. Dzwonię do Eli. Już na nas czeka. Spotykamy się w samo południe, żegnamy Danusię i we trójkę wyruszamy w dalszą drogę. Wybieramy czerwony szlak wzdłuż jeziora Gardno, komary dokuczają okropnie, nie sposób zatrzymać się nawet na moment. Bez troski odpoczywamy dopiero na pomoście na jeziorze Dołgie. Z Lasu Smołdzińskiego dzwonię na znajomą kwaterę w Łebie, niestety, wszystkie pokoje są zajęte. Cóż, będziemy improwizować. A na dzisiejszej mecie gospodyni już na nas czeka.

20.06.2005

Wstyd przy-
dojście na Wyd-
Z pomocą przy-
wspomnienia Eli
werzysta oraz
cia z domu w
skim aż do Łęc-
spotykamy niko-
rowerzystą i pra-
ku. Wprost trud-
przez dwie go-
jemy wzdłuż
dząc żadnego
na Łęckiej Górze
daleka wydma
tężne mrowisko.
kiem czerw-
zmierzamy do
obawiamy się



znalezieniem lokum. Niesłusznie. Ela wiedziona intuicją, „jak po sznurku” prowadzi nas na miłą, pustą i tanią kwaterę. Wieczorem wybieramy się na zakupy, ja wracam z torbami do domu, a dziewczyny idą na piwo. I tak właśnie być powinno!

nać, lecz myślę
mę Czołpińską.
chodzą nam
i miejscowy ro-
mapa. Od wyjś-
Lesie Smołdziń-
kiej Góry nie
go poza tym
cownikiem Par-
no uwierzyć, że
dziny wędru-
morza nie wi-
człowieka. Za to
kłębi się tłum, z
przypomina po-
Leśnym odcin-
nego szlaku
Łeby. Trochę
problemów ze

21.06.2005

Najpierw wędrujemy ścieżką rowerową przez Mierzeję Sarbską – zaczarowanym, pustym, leśnym szlakiem, potem idziemy pod latarnię morską *Stilo* (Krysia wchodzi na górę dwa razy!). Stąd schodzimy nad Bałtyk i trafiamy wprost na parę „długodystansowców”. Od dwóch lat pokonują kolejne odcinki wybrzeża, tym razem zamierzają przejść się z Łeby do Władysławowa. Wędrują „na ciężko” z całym sprzętem biwakowym. Żegnamy się serdecznie. Plaża jest pusta, piasek olśniewający i twardy, niebo błękitne, morze niespokojne, słońce pełne blasku. Jest magicznie. To jeden z ładniejszych etapów. Kwaterujemy w Białogórze. Krysia ma bąble i otarcia na stopach, Ela czuje się trochę zmęczona, więc obydwie zostają w domu, a ja – wyposażony w listę, zostaję wysłany na zakupy. Tak też być powinno!

22.06.2005

Wbrew prognozom dzień jest pogodny. Tuż po starcie na naszej drodze pojawia się niezwykła przeszkoda – tabun koni przeganianych ze stajni na pastwisko. Zapiera nam dech w piersiach, gdy wprost na nas galopuje kilkanaście klaczy z młodymi. Za Dębkami schodzimy na plażę, wieje potężnie, lecz idealnie w nasze plecy. Wprost fruniemy na skrzydłach wiatru. Podobnie jak wczoraj plaża jest pusta, a piasek, niebo, obłoki i słońce – jak na pocztówkach. Powoli i opornie przechodzimy przez Karwie – zatrzymują nas kolejne sklepy i ławki. Później, pomimo wrześnieowych doświadczeń, sforsowanie ujścia Czarnej Wdy ponownie okazuje się kłopotliwe. Gubimy drogę wzdłuż delty i wchodzimy w głąb lasu ścieżką, którą powinniśmy wyjść... W Jastrzębiej Górze decydujemy o zmianie planów i zamiast nocować tutaj, ruszamy do Władysławowa. W ten sposób mamy szansę dojść jutro nawet na Hel. Trochę szkoda, bo ta modyfikacja może skrócić Przechadzkę, a nic nie zmusza nas do pośpiechu.

Na metę etapu przychodzimy solidnie zmęczeni. Szybko znajdujemy kwaterę, płacimy 30 zł zamiast wyjściowych 40 zł. Cóż, chyba osiągamy wprawę w targowaniu się... Idę zadzwonić do domu, sprawny jest dopiero trzeci automat. Wracając na kwaterę dostaję od dziewczyn SMS z prośbą o zmywacz do paznokci. Gdzie ja tej porze znajdę zmywacz we Władysławowie? Znajduję: na drugim końcu miasta. Wracam sponiewierany i zły na siebie.

23.06.2005

Powoli posuwamy się z Władysławowa wzdłuż Półwyspu Helskiego. Czuję się fatalnie. Chyba nie tylko ja. Dopiero dłuższa przerwa w Kuźnicy wyraźnie poprawia nam samopoczucie. Nocujemy w Jastarni. Trafiamy wprost na *Sobótkę*, Ela i Krysia dołączają na chwilę do korowodu, idą zobaczyć „topienie zła”. Śpimy mocno pomimo fajerwerków oraz głośnej muzyki na zewnątrz.

24.06.2005

Przychodzi SMS od Mamy. *Nad brzegiem morza kończy się ziemia. Po drodze Jastarnia, Jurata. A potem Hel. To cel na dzisiaj, nie żaden koniec świata. Słona łezka w słonym morzu zostanie.* Przez cały ostatni etap Drugiej Przechadzki wędrujemy plażą. Zaczarowane, słoneczne przedpołudnie mija niepostrzeżenie. O godzinie 12.30 mijamy tabliczkę „Hel, wejście 64”. To już? To koniec? Trudno w to uwierzyć. Trudno się z tym pogodzić. Zwlekamy z odejściem w głąb ładu. Każdy na swój sposób żegna się z Bałtykiem. Było tak dobrze. Dziękujemy.

Wsiadamy w pociąg do Gdyni. Tam rezygnujemy z szybkiej przesiadki, gdyż wizja przyjazdu do Krakowa o godzinie trzeciej w nocy nie odpowiada ani Krysi, która mieszka w Niepołomicach, ani Eli z Będzina. Wybieramy nocny autobus relacji Karwia – Zakopane. Nad ranem, w Dąbrowie Górniczej żegnamy się z Elą. Za Olkuszem zaczyna palić się jedno z kół. Koniec jazdy! Przesiadamy się w wóz zastępczy i o świcie wsiadamy w Krakowie.

Uczestnicy Drugiej Przechadzki:

Elżbieta Bartoszek, Krystyna Sakowska
Michał Sośnicki, Kuba Terakowski



Kuba Terakowski

WOŁOSZYN W LETNIM ŚNIEGU

Jest początek września 1953 r. Z nakazu pracy jestem zwolniona, bo w Szczawnicy Gmina Spółdzielnia nie ma pokoju dla mnie. Wtedy powinnam była na siłę zostać w Szczawnicy, bo ominięcie nakazu pracy było jakby walką, no i miało swoje konsekwencje, ale ja byłam szczęśliwa, że mogę jechać w ławy, Na Łysej Polanie. Kontrola dowodów osobistych i zaświadczeń o celu udania się do strefy nadgranicznej. Kontrola odbywała się w autobusie kursowym, a to PEKAES-ie. Do malutkiego oka prosto ze Szczawnicy przyjeżdżam nie z plecakiem, a z walizką. Pierwszą wspinaczkę odbyłam na Mnicha przez przewieszkę, nie zjeżdżałam jak pozostali na linie, tylko schodzę przez płyty i robiąc przy okazji warsztat Chmielowskiego. Następna droga to Cubryna. Tam za nami – by nas skontrolować, wchodzi na Przeł. pod Zadnim Mnichem żołnierz WOP-u. Po kontroli WOP-ista patrzy w dół i mówi, że nie wie, jak stąd zejść, no i coś – wiążemy go liną i spuszcza. Trwa to około pół godziny. A my frajerzy robimy uskok, lecz coś, jesteśmy żółtodziobami, no i nie uznano nam tej drogi. Trudno, żyje się dalej. Haneczka chce iść na Wołoszyn, a przy okazji „zrobić” grań. Wyruszamy. Wchodzimy w Żleb nad Wodogrzmotami Mickiewicza, podchodzimy w górę. Naraz widzimy ścieżkę z lewej strony, a jesteśmy niedaleko Dziada... w grani Wołoszyna. Myślimy, że ścieżką szybciej, lecz przed nami moc jagód i jemy, jemy, jemy. Napijemy się, no i okazuje się że ścieżka prowadzi do nikąd – w gęstwinie leśnej, trochę jak w borze, nagle się urywa. A jest już godzina piętnasta trzydzieści, a z Morskiego Oka wyszliśmy o 10.30. Nic nam innego nie pozostało, jak odwrót. Zaczyna padać deszcz, Tatry zasnuwane są mgłą. Do Morskiego Oka nie możemy wracać, a jakże – co by na to powiedzieli koledzy, że my z taką łatwą granią nie dałyśmy sobie rady, ale by było! Zatem idziemy na Łysą Polanę, tam pijemy herbatę w domku przy granicy i wozem WOP-u jedziemy do Zakopanego, w Barze Mlecznym na ul. Kościuszki kolacja – kwaśne mleko, ziemniaki, naleśniki, mleko i bułka. Teraz trzeba poszukać noclegu. Staszczkówka zajęta, więc śpimy na Bystrem w willi „Spokojna”. Nocleg bardzo drogi, bo aż 25 zł od osoby. Rano w Kuźnicach w schronisku, gdzie jemy śniadanie, dowiadujemy się, że na Kasprowym spadł śnieg. Ale my zejdziemy na Halę Gąsienicową przez Jaworzynkę, serpentynami w górę za żółtymi znakami. Na Karcznińsku widoczność zmalała do jednego metra i atak..., no i jest strasznie zimno. Z opresji tej wychodzimy cało, idziemy dalej do Murowańca, nocleg mamy na poddaszu w sali 20, tzw. trumnie. Śpimy na drugim łóżku od drzwi, a z okna widzimy Kościelec i... Perć z Zawratem. Na niebie są przejaśnienia – stąd wiem. Jednak większość dnia widać tylko mgłę i mgłę, a za mgłą Tatry. Zaś na dworze albo pada deszcz, albo też śnieg. Od czasu do czasu wychodzimy z Murowańca, by aurę odczuć na sobie i wiedzieć jak jest, a nie patrzeć tylko przez okno. Wieczorem w Murowańcu rozlega się śpiew – *Idou czarne stiny w tudzoń... W miesiczku pleni jedu w Teksas z plesaniu... Hwizdy uspani, swiau hozeni. W miesiczku pleni jedu z konem sam.*

– I myśmy wtedy śpiewali tęskną pieśń o Teksasie, my wychowani na... socjalizmie. To i tak dobrze, że nas wówczas nie wsadzili do..., ale sądzę, że to była zakazana piosenka. Rano wychodzimy, a na dworze się wypogodziło, no i jest



Pies w zimowych Koryciskach.

Foto: Krzysztof R. Mazurski

słońce. Skręcamy w lewo, w pierw idziemy lasem, mijamy dwa potoki, stok Żółtej Turni. Jesteśmy za Haneczką w Dolinie Pańszczycy. Jest Czerwony Stawek, tu... posilamy się, teraz lekcja topografii. Śniegu coraz więcej, im wyżej podchodzimy. Na przeł. Krzyżne wieje strasznie. Na Krzyżnem spotykamy dwie turystki z przewodnikiem, ubrane są w wibrany, ciepłe swetry, a my w spodniach... i trampkach. Przewodnik nazywa się Dudley. Idziemy... z Hanką. Przewodnik zaś upatrzył sobie jedną panienkę i adoracja na całego; prowadzi panienkę za rączkę, zupełnie nie troszczy się o drugą. A ta druga, to istny kłopot..., że stąd nie ruszy się, tu zostanie – i ściągałam ją ze skałki, choć groził mi zjazd do Doliny Koszyczej – ale wszystko odbyło się dobrze. Było tak przynajmniej ze cztery razy. Ale mi się dostało! Przecież nie moglibyśmy zostawić pań..., bo jeszcze miałyby miejsce akcja TOPRu. Grań Wołoszyna w pełni zajęła nam trzy godziny od 14 do 17. Śniegu było ze dwadzieścia centymetrów. Podziwiamy piękne Tatry. I już Rusinowa Polana. Przewodnik bez słowa się zmywa, nawet nie powiedział „Do widzenia”; szli w dół, chyba do Roztoki. Potraktowali nas jak powietrze. Do Morskiego Oka wracamy o 19.30. Towarzystwo bardzo zaś jest zachwycone tym, że udało się nam grań Wołoszyna zrobić w śniegu i to latem. A my wychodzimy całe i zdrowe.

M. Juranek

WŁADEK

Władka poznałem na początku lat osiemdziesiątych, kiedy miałem już za sobą parę „wymęczonych” sezonów w Tatrach. Zaczynałem wówczas odczuwać respekt przed górami, podszepty wyobraźni brały górę nad porywami serca. To zadziałał ów wychodzony „garb psychiczny”. Okrzeplęm latami wychodzonymi w Tatrach, a świeżość spojrzenia zastąpiło doświadczenie.

Władek wkraczał w góry z pustym kontem, bez obciążeń i zahamowań, wnosił świeży powiew. Nasze wspólne cele były więc wypadkową naszych temperamentów, kompleksów i lęków. W tym sensie uzupełnialiśmy się nawzajem. Różnica między nami polegała na tym, że Władek miał zacięcie sportowe, a ja odkrywcze w stylu Dorawskiego, chciałem „zaliczyć” jak najwięcej szczytów, wejść najwyżej. Tatry Polskie stały się dla mnie w pewnym momencie za ciasne i gdy tylko zaistniała możliwość wypadów na Słowację, skwapliwie skorzystałem z niej. Władek miał innego rodzaju ambicję – wszędzie znajdował coś dla siebie, szczególną zaś słabość odczuwał do otoczenia Morskiego Oka. Jeśli nie zgadzałem się z jego propozycją, zastawiałem go z nią sam na sam. Obydwaj byliśmy egotykami i indywidualistami, stąd łatwo dochodziło między nami do różnicy zdań. Inna sprawa, że Władek miał zadatki na dobrego wspinacza, ale jak to w życiu często bywa, ominął go kurs taternicki, turystykę traktował jako doraźną przyjemność. Wspinał się odważnie, lecz z namysłem. We wszystkim, co robił był perfekcyjny, aż do przesady. Miał w życiu tyleż szczęścia, co pecha. Częstośmy uprawialiśmy tzw. „małe taternictwo”, tj. wspinaczkę leżącą na pograniczu między turystyką a wspinaczką z użyciem „szpeju”. Jedynym środkiem do przeżywania gór pozostawał niezmiennie młodzieńczy entuzjazm i... brak wyobraźni. Ów brak zastępowała zdolność do improwizacji i brak wątpliwości przypisane przecież młodości.

Kilkakrotnie wypuściliśmy się „za bucki” tzn. nielegalnie przekraczaliśmy granicę i nic. W tej sytuacji wszystkie przestrogi i opowieści wydały się nam mocno przesadzone. Często chodziliśmy na dziko, poza znakowanymi szlakami, bardzo sobie chwalać te eskapady. W ten sposób byliśmy na wielu szczytach Tatr. Dalej droga wiodła już tylko przez kurs taternicki lub wypadki zagraniczne.

Jerzy Głoskowski

UDRĘKA KARKONOSZA

Jego przestrogi
osypują się piargami...
Skamieniały
wierne mu Pielgrzymy,
dzik się nie chce zaprzęgnąć
do sań.
Coraz częściej
wystrzępiają mu szatę jeżyny;
rumosz
zęby szyderczo wyszczerza,
babielaćki na wyścigi przędą
jego rudy włos,
a po piętach depczą mu
pokrzywy.
Wśród sztandarów Karkonosza
coraz mocniej gra w domino wiatr...
Jego słowa
potokami spływają
na dno.

Ludmila Gajczewska



JIRASKOVĄ CESTĄ PRZEZ GÓRY ORLICKIE

Wczeskie Góry Orlickie wybieraliśmy się z kolegą od dawna. Kiedyś było to o tyle utrudnione, że najbliższe przejścia graniczne znajdowały się w Kudowie i Międzylesiu. Teraz jest o wiele łatwiej, gdyż otwarte są turystyczne przejścia w górach (wymagany jest paszport): Kozia Hala-Olešnice, Zieleniec-Masarykova chata, Mostowice, Niemojów-Bartošovice, Kamieńczyk-Mladkov. My rozpoczęliśmy swoją wędrówkę w Nachodzie, gdzie dojechalśmy pociągiem relacji Wałbrzych-Meziměstí, a dalej już koleją czeską (pociągi te są skomunikowane ze sobą). Jest to bardzo wygodne połączenie, skracające podróż z zachodniej części Dolnego Śląska w rejon czeskich i polskich Gór Stołowych. Niestety, pociąg do Meziměstí dość drogo kosztuje.

Zwiedzanie zaczynamy od uroczo położonego Nachodu. Wyróżnia się on pięknie odnowioną starówką oraz dużym zamkiem na wzgórzu, którego początki sięgają XIII w. Góry Orlickie zamierzaliśmy przejść „Jiraskovą cestą”, będącą odpowiednikiem Głównego Szlaku Sudeckiego im. Orłowicza. Na początku zaprowadziła nas ona do Ameryki i Jiraskovej chaty, położonych na wzgórzu Dobrošov. Schronisko, wzniesione w 1923 r. według projektu Dušana Jurkovića, przykuwa uwagę charakterystycznym kształtem i wieżą, która jest znakomitym punktem widokowym. Od 1992 r. do tego roku obiekt był nieczynny. Teraz trwa tam jeszcze remont, lecz można wejść na wieżę widokową (10 koron) i przenocować (250 Kč). Sprzed schroniska również cudowne widoki na Nachod, Góry Stołowe, jez. Rozkos i ogromny wał Karkonoszy. Z Ameryki „zstąpiliśmy” do Piekła – tak bowiem nazywa się ostro wcięta dolina, wyżłobiona przez rzekę Metuje. Stoi tam piękny budynek przerobiony na restaurację z dawnego młyna. W drodze na główny grzbiet Gór Orlickich warto zobaczyć jeszcze ruiny zamku Frymburg z pocz. XIV w. rozebranego przez Szwedów oraz urokliwe miasteczko położone na wzgórzu – Novy Hradek. Masyw ten jest rajem dla rowerzystów (dużo dróg, również asfaltowych, spotyka się wielu Czechów na rowerach), zimą dla narciarzy na biegówkach (szlaki oznaczone tyczkami), ale przede wszystkim dla miłośników pamiątek po II wojnie światowej. „Jiraskova Cesta” od Velkiej Deštné aż za Mladkov wiedzie wzdłuż czeskiej linii umocnień budowanych w latach 1936-1938 przy granicy z Niemcami. Napotyka się tu dziesiątki tak zwanych „ropików”, czyli małych schronów strzeleckich, co jakiś czas większe bunkry, a gdzieś tam cięższe umocnienia – twierdze. Wzbudzają one niemałe zainteresowanie wśród turystów, a, co ważniejsze, wiele z



Kunštatske kaple. Fot. Krzysztof R. Mazurski.

nich jest udostępnionych do zwiedzania, np. forty artyleryjskie przy zielonym szlaku Nachod-Dobrošov, a przy „Jiraskovej ceste” – „pechotni srub RS 90/1” pod Komařim Vrchem (zorganizowano w nim małe muzeum czynne od kwietnia do września w soboty i niedziele od godz. 8 do 17, wstęp „co łaska”), twierdzę „Hanicka” (od czerwca do końca września czynna w godz. 9-15, wstęp: 30 Kč, 15 Kč dla dzieci i studentów). Cała linia umocnień sprawia niesamowite wrażenie na turyście. Została nazwana „bezbronnymi strzelnicami”, ponieważ czescy żołnierze musieli wycofać się po aneksji ich kraju przez Niemcy w 1938 r.

przy przejściu granicznym w Mostowicach (nocleg: 100 Kč), Čihak (my trafiliśmy na jakąś konferencję, podobno przespać się tu można za 200 Kč). Dla amatorów noclegów „pod chmurką” czeka, wymoszczona sianem, przypominająca o swej byłej funkcji poprzez kamień z napisem „JHS”, Kunštacka kaplica z XVIII w., znajdująca się na grzbiecie między Deštną a Komařim Vrchem. Szczególnie zaś polecamy samoobsługowy schron, znajdujący się w domku Horskjej Služby na szczycie Velkej Deštnej – najwyższym w paśmie Gór Orlickich.

Taki nocleg, zwłaszcza przy ładnej pogodzie, powinien dostarczyć niezapomnianych wrażeń: zachód słońca z drewnianej wieży „Stefana” i luna światła w nocy, zaś rankiem – wschód słońca zza Masywu Śnieżnika. Nam przytrafiło się jeszcze rykowisko jeleni. Wodę można nabrać w pobliskim źródle, ok. 100 m. za szczytem. Nie powinno też być problemów z uzyskaniem noclegów w licznych pensjonatach w Rickach, Zdobnicach, Deštnej (gorzej w sezonie narciarskim – wymagana wcześniej rezerwacja).

Idąc w stronę Mladkova warto też skręcić ok. 500 m na szczyt Adama, fantastycznego punktu widokowego na Jesioniki z Pradziadem, potężnie prezentujący się z tej strony Masyw Śnieżnika ze swoim najwyższym szczytem Śnieżnikiem, Igliczną, Czarną Górą i rozpostartym u ich stóp Międzyziesiem, góry: Żółte, Białskie, Bardzkie, Bystrzyckie i Orlickie. Na Adamie znajduje się schronisko, niestety, zamknięte podczas naszego pobytu (Kasparova Chata na Adamu, tel: 0446 95288).



Nachodski zamek. Fot. Krzysztof R. Mazurski.

Do Polski najlepiej wrócić przejściem w Kamieńczyku. Obejrzymy tam piękny, barokowy kościółek, jeden z czterech najstarszych i zarazem drewnianych, zachowanych w obrębie Ziemi Kłodzkiej. Najcenniejszym elementem wyposażenia jest polichromia z 1734 r., przypisywana praskiemu malarzowi Antoniemu Ferdynandowi Veitovi. Stąd polami, podziwiając Masyw Śnieżnika, już niedaleko do stacji kolejowej w Międzyziesiu.

Góry Orlickie czekają na odkrycie przez polskich turystów.

Artur Cierniak

KONKURS NA LIMERYKI TURYSTYCZNE

Mamy już pierwsze zgłoszenie w naszym konkursie! Zachęcamy innych do podobnej twórczości.

TWÓRCA TOPONIMÓW

Pewien facet z Hemtremiku
Tworzył nazwy w limeryku.
A wianimia, hydronimia oraz inne toponimia
Tak się z faciem zabawiały, tak go długo podpuszczały,
Aż zasnął na stoliku.

JKB 1

W KACZAWSKICH

Na Maślak chutko pójść wołę,
Niż metropolii zwiedzać okole.
Na Chyniec, Trafalgar, Pośrednią, Folwarczną,
Wysokie Chechło, Zielony Rumak, Okapek, Piwniczną,
A Zimną Szparę wygolę w... Krzystkowym Dole.

JKB 2



NA WĘGRY PO GORĄCE ZŁOTO

Jestem pewien, że podróżując po Wielkiej Nizinie Węgierskiej nie zdajemy sobie sprawy z tego, że pod nią rozciągają się pozostałości po Morzu Pannońskim. Nizina Pannońska (powinna raczej być prawidłowo zwana Niziną Środkowodunajską) pod względem geologicznym stanowi rozległe zapadlisko tektoniczne powstałe w trzeciorzędzie (neogenie), wypełnione osadami nie tylko morskimi, ale także jeziornymi i rzecznyymi o dużej miąższości. Właśnie to zapadlisko było miejscem poszukiwania gazu ziemnego. Jak zawsze przy takiej okazji okazało się, że na inne „złoto” trafiło. Prowadzący poszukiwania dr Ferenc Pávai Vajna zlecił tu wiercenia głębinowe i zamiast gazu z głębokości ponad 1000 m wytrysnęła woda o temperaturze do 84° C. Poddano ją analizie chemicznej, a znajdując sporo pierwiastków z tablicy Mendelejewa zaczęto rozpoznawać jej właściwości lecznicze.

Tak powstały cieszące się sławą kąpieliska lecznicze na Węgrzech, znane także w całej Europie. Tym razem i ja podczas krótkich wojaży trafiłem do jednego z bardziej znanych kąpielisk węgierskich Hajdúszoboszló (czytaj *Hajdusoboslo*), popularnie zwanego *Mekką dla reumatyków*, co oczywiście oprotestowałbym, gdyby to tylko o mnie chodziło. Jadąc zastanawiałem się, co ciągnie ludzi do tych kąpielisk, przecież po drodze mamy podobne źródła termalne na Słowacji, a i u nas są ogromne rezerwuary, leżące jeszcze odłogiem, na tej samej głębokości, może jeszcze głębiej, które potwierdzają wiercenia głębinowe na Podhalu. Po paru dniach już wiedziałem, dlaczego i przestałem się dziwić.

Miasto, jak miasto, niczym szczególnie się nie wyróżnia. Jego atrakcją są wody termalne, które przyciągają ponoć turystów z całej Europy; napisałem *ponoć*, bo jestem innego zdania, 90% turystów spotkacie państwo z Niemiec i... Polski! Jeżeli więc te dwie nacje dominują w Europie, to zgoda. Doszło do tego, że można porozumiewać się po polsku w sklepach, hotelach, spotyka się polskie napisy, na każdym kroku słyszy się mowę polską, w każdą sobotę o godz. 19 dominikanie z Debreczyna odprawiają w kościele przy ul. Bocskai mszę po polsku, w kantorach wymienia się złotówki na forinty, komunikaty na basenach podawane są również w języku polskim, z tego można się tylko cieszyć. Zaraz pierwszego dnia zwróciłem uwagę na wodę. Woda ma lekko brunatne zabarwienie, dziwny, dość charakterystyczny zapach, w powietrzu unosi się para jodowa, w dotyku woda jest też inna, jakby jedwabista. W folderze uzdrowiskowym anonimowy autor napisał, że *ma perłowo opalizującą powierzchnię*. Czegoś takiego się nie dopatrzyłem, ale każdy widzi, co sam chce.

Hajdúszoboszló jest największym kąpieliskiem węgierskim, leży 18 km od Debreczyna, rozciąga się na terenie 30-hektarowego parku, zadbanego, estetycznego i zdolnego pomieścić wszystkich chętnych – gdzieś chyba kres tej pojemności jest, jeżeli nie samego parku, to ludzi tu przebywających. W 2001 r. wykończony został nowoczesny budynek kąpieliskowy, w którym oferuje się zabiegi lecznicze, oraz cztery nowe baseny z ciepłą wodą, znajdujące się pod gołym niebem. W sumie basenów jest aż jedenaście, sam nie liczyłem, ale się dowiedziałem. Jest też spory staw z mętną wodą, można popływać na rowerach wodnych, łódkach, kajakach; na środku wyspa dla nudystów, połączona mostkiem z lądem. Dodatkową atrakcją jest niedawno otwarty aquapark z różnorodnymi zjeżdżalniami, dla odważniejszych: zjeżdżalnia olbrzym (113 m), szalona rzeka (120 m), czarna dziura (101 m), kamikadze (54 m) i dla tych tchórzliwszych (ok. 54 m, ale też o różnej skali trudności). W pobliżu ładny basen olimpijski z wodą tak krystalicznie czystą, że aż chce się popływać. Czyż można się dziwić? W pozostałych basenach woda jest przecież *perłowo opalizująca*.

No dobrze, powróćmy jeszcze do basenów, bo to one są najważniejsze. Już pierwszego dnia dowiedziałem się o skali temperatur (w każdym woda o innej temperaturze) i dlatego należy *moczyć* się raz w tym, a raz w innym basenie. Działanie termiczne zapewnia temperatura kąpiele wynosząca 28, 32, 35, 36 i 38°. Woda ta zawiera sól, jod, brom, węglowodory, fluor, żelazo, mangan, glin, lit, śladowe ilości wanadu, srebra, cynku, strontu, baru, ołowiu, uff! Szaleństwo, a przecież należałoby dopisać jeszcze związki organiczne. Na samą myśl, że w czymś takim się zanurzałem, krew mi sama bulgotała i rozszerzały się naczynia krwionośne. Żarty na bok, w końcu przyjeżdżają tu ludzie, by się podleczyć i jest to dla Węgrów doskonały biznes.

Sam kompleks basenów jest małym miasteczkiem, gdzie nie tylko można się moczyć, ale także zjeść w licznych punktach małej gastronomii, napić piwa, kupić potrzebne rzeczy (materace, ubiory, pamiątki), co bądź. Można siedzieć tu cały dzień i nie nudzić się.

Pierwszego dnia wszystko jest nowe i wzbudza zainteresowanie, przedziwnym zjawiskiem wydała mi się zbiorowa gimnastyka w jednym z basenów w takt muzyki disco i pod okiem instruktorki. Ten wodny aerobik ćwiczy naraz kilkadziesiąt osób z takim zapałem, że pewnie przez to jeszcze bardziej wzrasta temperatura wody. Co godzinę spikerka w kilku językach, w tym polskim, zaprasza na wielką falę wzbudzaną przez agregaty pompowe. Dla tych, którzy całymi godzinami rozgrzewają swoje członki w basenach z gorącą wodą, udział w tej zabawie powoduje ciarki na ciele, bo zabawa odbywa się w... zimnej! Krzyki i piski ludzi rzucających się na falę, zalewanych, wywracanych, nawet poniewieranych przez wodę, rozchodzi się po całym kompleksie. Sam ucześnie na falę, bo był to taki przerywnik w *basenologii stosowanej* z elementem lekkiego ryzyka, w moim wypadku, czy napiję się wody, czy też nie.

Nie samymi basenami człowiek żyje. W letnie wieczory główna promenada tętni swoim życiem, zapełnia się tymi, którzy w dzień siedzą, mało co ruszając się, najwyżej przemieszczając się między jednym a drugim basenem. W nastrojowych kafejkach, restauracjach, gospodach można spróbować nie tylko specjałów kuchni węgierskiej, jest duży wybór potraw, apetyty poprawia muzyka; w każdej restauracji inna, można wybierać od młodzieżowej do klasycznej i zrzucić co nieco nadwagi. Jednodaniowy obiad wyniesie od 400 do 900 forintów i można się dobrze najeść.

Po powrocie do kraju znajomi, czytający moje reportaże, pytali mnie, co takiego tym razem interesującego jadłem i czy o tym napiszę. Tak, oczywiście. Zapamiętałem dwa dość proste dania, które polecałbym, niedrogo, dużo na talerzu i dość efektownie wyglądające, to: *bihari*, czyli indyk pieczony, nadziewany suszonymi śliwkami, z pokrojoną drobno kiełbaską, do tego frytki, ryż, zielony groszek z marchewką, kukurydzą, jarmużem i brukselką, wszystko posypane parmezanem, palce lizać! I drugie danie: *Szalon Sőr* to prosty gulasz barani z frytkami i sałatkami do wyboru. Uprościłem pisząc *prosty gulasz barani* – ten jest delikatny, rozpływający się w ustach, przyprawiony ziołami; co jak co, ale baraninę Węgrzy potrafią robić i daleko nam do ich kunsztu. Polecałbym tradycyjne dania z baraniny: ci, co nie lubią tego mięsa, tam zmieniają zdanie. Do tych dań można zamówić schłodzone piwo, albo też dobre wytrawne wino węgierskie. Jeszcze dziś mam pełne usta śliny.

Do Hajdúszoboszló przyjeżdża się korzystając z biur podróży, ale można też indywidualnie. Sporo tu pensjonatów i hoteli różnej kategorii, na każdą dosłownie kieszeń. Trzygwiazdkowe oferują noclegi i wyżywienie od 80 €, czterogwiazdkowe za 110-130 €, a są luksusowe, proszę mi wierzyć. Taki, dla przykładu, „Silver Hotel” – oprócz komfortowych pokojów i łazienek, sauny fińskiej i basenu, prowadzi pełny zakres usług leczniczych bez wychodzenia z hotelu! Wszystkie pensjonaty i hotele rezerwują miejsca na telefon, fax lub przesłanego e-maila. Jeżeli już przyjedziemy do Hajdúszoboszló z marszu i będziemy mieć problemy ze znalezieniem się, mam na to lekarstwo. Proszę nie wpadać w panikę, do dyspozycji jest prywatne biuro turystyczne LIMÁR TOURS KFT, które prowadzi sympatyczne polsko-węgierskie małżeństwo: Lidia (z Krakowa) i József Nagy. Biuro znajduje się przy ul. Jókai sor 9, wystarczy podjechać lub zadzwonić (oczywiście po polsku) pod nr 06/30/965-1930 bądź 06/30/254-2071, na pewno pomogą.

Biura podróży oferują także całodniowe wycieczki fakultatywne do Budapesztu, Egeru, Debreczyna i Tokaju, a także na teren puszy, gdzie założono pierwszy park narodowy Hortobágy na Węgrzech. Ludność puszy zajmuje się tradycyjną hodowlą *szarego* bydła, którego długość rogów potrafi dochodzić do 1 m, długowłnistymi owcami *racka*, czarnymi bawołami i końmi *nonius*. Wśród chronionych w parku zwierząt przeważa dzikie ptactwo, w tym rzadkie dropie, kulony, dzikie gęsi i żurawie, orły bieliki i cesarskie. Zwiedza się muzeum pasterstwa, podróżuje wozami po stepie, ogląda popisy jeźdźców, pokazy powożenia, strzelania z bata, a kończy wizytą w karczmie. Na tej wycieczce za jedyne 35 € mamy do czynienia z folklorem, wprawdzie przygotowanym na pokaz, ale profesjonalnie.

Warto więc urozmaicić sobie pobyt. Wszystko jest w naszym zasięgu, można wyjechać nawet na parę dni, bo blisko, polskie biura podróży sprzedają też same bilety na podróż, bez innych świadczeń. Resztę na miejscu załatwimy bez problemu. Warto sobie taki przerywnik zrobić między jednym a drugim wyjazdem jadąc gdzieś dalej na południe Europy.

Ryszard M. Remiszewski

CZESKIE NOWINKI TURYSTYCZNE

Wzrasta liczba polskich turystów odwiedzających Republikę Czeską. Dobrze utrzymane zabytki, gęsta sieć pensjonatów, liczne gospody oferujące tanie i smaczne pożywienie, a nawet wyższy niż w Polsce standard usług przyciągają do tego kraju Polaków. Bardzo dużo naszych rodaków odwiedza liczne czeskie skalne miasta czy Pragę. W małej obszarowo Republice Czeskiej jest udostępnione do zwiedzania 400 zamków i ponad 1600 pałaców. Państwo to co roku odwiedza ponad 7 mln turystów, w tym wielu z Polski.

Przekraczając granicę państwową w Jakuszycach mamy możliwość zwiedzenia aż 12 czeskich muzeów, z których niezwykle ciekawe to Muzeum Czeskiego Raju w Turnowie. Posiada ono zbiory kultury ludowej, a zwłaszcza strojów regionalnych tego regionu, przebogata kolekcję kamieni szlachetnych oraz największy obraz w Europie Środkowej „Kłęska Sasów pod Hrubou Skalou” (8,5 x 10 m). Ale na wskroś nowoczesne, niedawno otwarte, to Muzeum Szkła i Biżuterii w Jabłońcu nad Nysą. Trudno spotkać w innym muzeum takie nagromadzenie eksponatów. Wystarczy powiedzieć, że znajduje się tu około 10.000 przedmiotów ze szkła oraz ponad 2 mln klejnotów, dodatków czy szklanych guzików. Cennych jest również wiele historycznych urządzeń i narzędzi produkcyjnych oraz bogata kolekcja monet. Najpewniej zaś panie zainteresuje najdłuższy naszyjnik na świecie. Ma on 220 m długości i został wpisany do Księgi Rekordów Guinnessa. Wiele czeskich muzeów przygotowało nowe ekspozycje, tak jak np. Muzeum Wojskowe w Jaromierzu. W kompleksie barokowym szpitala w Kuksie udostępniono do zwiedzania rodzinny grób hr. Sporki. W zamku Houska na Czeskolipsku udostępniono do zwiedzania nowoodkrytą salę gotycką, a w zamku w Morawskiej Trzebowi urządzono średniowieczną salę tortur.

Jeśli chodzi natomiast o stolicę kraju – Pragę, to można mówić o niespodziankach zarówno *in plus*, jak i *in minus*. To, co zapewne cieszy, to fakt, że praski zamek można ogląda do godz. 24 (choć same obiekty czynne są do godz. 18). Ale po dziedzińcach zamkowych, ogrodach Praskiego Hradu, czy po fosie wzdłuż murów zamkowych spacerować można do północy. Zwiedzając zamek warto pamiętać, że o godz. 12 na I dziedzińcu odbywa się uroczysta zmiana warty. Natomiast wszyscy zapewne z przykrością przyjmą wiadomość, że zdrożał wstęp na słynną Krizíkovą Fontannę i wynosi on obecnie 270 CZK od osoby, zaś do Loretty – 110 CZK. Pragnąc zwiedzić cały Praski Zamek trzeba wykupić bilet za 350 CZK.

Wędrując po czeskiej Pradze warto pamiętać, że słynny Most Karola obchodzi swoje 650. urodziny. Powstał on przecież w 1357 r. Z tej okazji w Pradze będzie wiele uroczystości. Na koniec jeszcze sprawa parkowania samochodów osobowych. Najlepiej czynić to na parkingach typu P+R, przy stacjach metra Czerny Most i Nadrazi Holešov. Parkingi te są b. tanie, bo opłata wynosi 10 CZK i są czynne od 4.00 do 24.00. Trzeba jednak pamiętać, że po północy samochody są odholowywane, na koszt właściciela, na parking policyjny.

Stanisław Dziuba

INKASKA KRAINA

Z LIMY AUTOSTRADĄ PANAMERYKAŃSKĄ

Wypełniony pasażerami i bagażami wielki boeing powoli nabiera rozpędu i wreszcie odrywa się od płyty lotniska na Okęciu. Wkrótce przesiadka na amsterdamskim Schipholu do jeszcze większego samolotu. Czeka nas długi przelot, aż nieprawdopodobny: jak można tak potężną maszyną przeskoczyć bez lądowania, przez Atlantyk, przez całą szerokość Ameryki Południowej? Można. Część pasażerów spała, część czytała, oglądała filmy – to w końcu prawie 13.000 km w dwanaście godzin. Obsługa z KLM co pewien czas dożywiała nas, nawet niezłe, ale beźmięśnie – choć to nie był piątek! Wreszcie zadowoleni lądujemy popołudniową porą (nasz czas minus siedem godzin) w Limie. Tu czeka na nas wygodny autokar i miejscowy przewodnik – Paweł Canchaya Kralewski, pół Polak, pół Peruwiańczyk, dobrze, choć czasami dość śmiesznie mówiący po polsku. On to będzie pilotem-przewodnikiem naszej „śliwkowej” grupy, liczącej dwadzieścia pięć osób.

Pierwsze wrażenia z przejazdu do restauracji nad brzegiem Pacyfiku nie są zbyt zachęcające: ołowiane niebo, szaro i ponuro, odstręczające budownictwo - niedokończone (celowo) piętrowe domki, brudne i obdrapane, chłodno – w lipcu zaczęła się zima (wszak jesteśmy na południe od równika, na 12° szerokości południowej). Nastrój się poprawia po obiedzie i noclegu w wygodnym hotelu „Exclusive San Augustin”. Następnego dnia spotkała mnie, niestety, nie najmiłsza rzecz, mianowicie przy wymianie pościeli ‘wsiąkł’ mój strój do spania. Podobno to się często zdarza, ale najgorsze dla opinii firmy jest to, iż do dzisiaj wpiera mi ona, iż ja nic... nie zostawiłem! Choćby po prostu przeprosili. Hotel *Exclusive* nie jest więc taki wcale ekskluzywny! W turystyce to nie do wybaczenia.

Cały dzień zwiedzanie Limy, jednego z największych miast w tej części kontynentu, którego aglomeracja liczy 6,6 mln mieszkańców. Została ona założona w 1535 r. przez słynnego konkwistadora, „pogromcę” Inków – Franciszka Pizarro, jako Ciudad de los Reyes, Miasto Królów. Przez kilka stuleci pełniło ono rolę stolicy wicekrólestwa, a od 1821 r. gości władze republiki Peru. To rozległe państwo – ma 1.285.216 km², co przy 22,5 mln mieszkańców daje średnią gęstość zaludnienia, bardzo nierównomierną, 17,7 osoby/km² (Polska 126). Przeważa ludność indiańska: Keczua ponad 47%, Ajmarowie 5,5% i inne plemiona 1,7%, zaś biali stanowią zaledwie 12%. Po rozprawieniu się z ekstremistyczną komunistyczną partyzantką, głównie Świetlistym Szlakiem, panuje tu spokój i mimo wielkich różnic socjalnych stopniowo rośnie poziom życia. W centrum – mimo potężnego trzęsienia ziemi w XVIII w., zachowało się sporo cennych zabytków, jak dawny klasztor franciszkański z katakumbami, Pałac Prezydencki, katedra. Wielkie wrażenie robi Muzeum Złota powstałe na bazie prywatnych zbiorów. To w końcu hiszpańska chciwość i żądza zdobycia złota w El Dorado przywiodła garstkę awanturników nad drugi ocean, którzy pokonali niezmiernie trudne dla wędrówki i to wśród wrogiej ludności Andy. Przepiękne wyroby reprezentują przeważnie kulturę złotych naczyń z Lambayeque.

Na spotkanie z historią inkaską i preinkaską jeszcze przyjdzie czas. Na razie wyruszamy Autostradą Panamerykańską, która latem 2007 r. została tak poważnie uszkodzona przez wielkie trzęsienie ziemi, swojego czasu ‘cud techniki’, łączący Alaskę z Patagonią. Trud budowy podziwialiśmy bardzo często: przebite w skale przejazdy, serpentyny na nadoceanicznych urwiskach, przejścia przez przełęcze... Za Pisco (co za tragedia w 2007 r.!) stajemy w Paracas i przesiadłszy się na duże łodzie motorowe płyniemy poznać wyspy Bellestas w Rezerwacie Narodowym Paracas. Część z nich stanowi nadal tereny eksploatacji guana, które pod koniec XIX w. dało asumpt do szybkiego rozwoju gospodarczego kraju. Dalej jednak, głębiej ku Pacyfikowi, leżą skaliste wyspy i wysepki o fantastycznych kształtach, stanowiąc królestwo lwów morskich i rozmaitych gatunków ptactwa. Nie można było się nasycić ich widokiem. A to nie były ostatnie atrakcje tego dnia.

Autostrada – ale nie w rozumieniu europejskim, po prostu dobra szosa, wiodła wśród pustynnego krajobrazu, dzięki czemu plaże mają tu nawet do kilkunastu kilometrów szerokości. Rzecz jasna, nikt się na nich opala ani nie kąpie. I tu ogromne zaskoczenie: widok jak z Sahary, Tunezji czy Algierii – rozległy zbiornik wodny otoczony soczystą zielenią, wśród której stoją budynki usług turystycznych, zaś w tle wydmy dochodzące do... 300 m wysokości! Stanowią one teren atrakcyjnych przejażdżek specjalnymi pojazdami wielosobowymi i wszędolazami. Widoki z nich są przepyszne. To oaza Huacachina.



Ryty z Nasca

Dalej przez pustynię, do specjalnej atrakcji tej części Peru: Nasca – słynne linie ryte w szutrze i skale. Wyobrażaliśmy sobie, że trzeba specjalnych zabiegów, by się do nich dostać, przez bezludne i dzikie tereny. Nic z tego! Całe otoczenie to jeden wielki biznes, masowa turystyka. Same ryty można oglądać albo z wieży, albo z awionetek, po 55\$ od osoby. Wybraliśmy to drugie, jedyna w końcu okazja. Trwał strajk obsługi, w miasteczku aż strach się było przyznać, iż organizatorom udało się załatwić przeloty, ale polataliśmy. Wrażenia rzeczywiście niesamowite: na lekko pofalowanej powierzchni przeplatające się niekiedy ryty – rowki do 30 cm w odsłoniętej, przez to jaśniejszej skale. Odkrył je w 1920 r. pewien lotnik, który przypadkowo zboczył tu w locie z Limy. Dopiero w siedem lat później zorganizowano specjalną ekspedycję, która potwierdziła to doniesienie.

Nie zrozumiano wszakże idei rytów, więc sprawę odłożono. Na poważnie się zajęto nimi po II wojnie światowej, a do grona najbardziej zasłużonych badaczy należy Maria Rostworowski oraz Amerykanin Paul Cossac, którego peruwiańska pomocnica rozwinęła badania. Teorii na ich znaczenie – są tu linie geometryczne i figuralne, np. pająka, małpy, jest wiele. Jedną z ostatnich, właśnie tej Peruwianki Marii Reiche, widzi w nich kalendarz wenusjański. A Daeniken – kontakt z kosmitami dla nawigacji. Było o czym myśleć w dalszej podróży.



Oaza Huacachina.



Srebrna dekoracja tułowia.



Lwy morskie.

Cdn.

Krzysztof R. Mazurski

WĘDRÓWKI PO AUSTRIACKICH ALPACH

Jak wspaniale jest wędrować w Vorarlbergu

Prawie 6000 km jednolicie oznakowanych szlaków pieszych prowadzi przez urozmaity krajobraz między Jez. Bodeńskim a lśniącymi lodowcami Silvretty, zaś 2000 km w samym Bregenzerwaldzie, a 1100 km w alpejskim regionie Bludenz. A pomiędzy nimi: łagodne wzgórza, cieniste lasy, piękne wioski, tryskające wody, gościnne hale, niesamowite góry, zadbane drogi. „Radość wędrowania” – taki tytuł nosi 42-stronnicowa bezpłatna broszura, wydana przez Landesverband Vorarlberg Tourismus, zawierająca ważne informacje na temat wędrowek. www.vorarlberg.ccT



Cztery dni na „Via Alpina”

Via Alpina to nowa międzynarodowa długodystansowa trasa, która na odcinku 5000 km biegnie szlakiem łańcucha Alp od Monako do Triestu przecinając terytorium ośmiu alpejskich państw. Zarówno główny szlak, jak i trasy boczne zostały tak wytyczone, aby wędrowiec w sposób autentyczny mógł zapoznać się z różnorodnością przyrodniczą i kulturalną. Między Bawarią i Liechtensteinem *Via Alpina* prowadzi przez Vorarlberg i można ją przejść indywidualnie lub w ramach czterodniowej oferty na „wędrowkę bez bagażu”. Kolejne etapy prowadzą od Hochkrumbach na przejściu między Bregenzerwaldem a Arlbergiem do Schröcken, dalej przeł. Schadonapass do Buchboden i przez park biosfery UNESCO Großes Walsertal, wreszcie do Feldkirch do granicy z Liechtensteinem. Część *Via Alpina*, przypadająca na Vorarlberg, prowadzi z dala od turystycznych atrakcji, przez dziewicze górskie tereny, gdzie na historycznych ścieżkach można poznać prawdziwy alpejski krajobraz naturalny i kulturalny. www.bodenseecity.com

Szlak cudów natury w Au/Bregenzerwald

Prawdziwe skarby leżą tuż przed drzwiami gospodarza, tak samo jest ze „Szlakiem cudów natury” w Au, który można przejść w 3 godz. Cuda natury istnieją już od wieków, teraz można do nich dotrzeć dzięki nowo założonemu szlakowi. Informacje podane są na kilku tablicach i w obszernym folderze.

Alpy Vorarlbergu.

Na południe od Au leży wąwóz Argenbachu z pionowymi, stumetrowymi skałami warstwowymi. Na bagnistych łąkach Auer Ried rośnie ponad 40 rzadkich gatunków roślin; wilgotne ubogie łąki i odsłonięte zbocza ze starymi szałasami poprzecinane są ciekami wodnymi, lasami galeriowymi i wilgotnymi biotopami. Podczas wędrowki towarzyszy widok na górę Kanisfluh, zasiedloną przez stada koziorożców i kozic.

www.au-schoppernau.at

Poetycki szlak Eduarda-Mörrike

„Natura i kultura” to temat sezonu w Vorarlbergu. W Schwarzenbergu, ojczyźnie barokowej malarki Angeliki Kauffmann oraz miejscu, w którym odbywa się letni festiwal Schubertiada, spędzał urlop niemiecki poeta Eduard Mörike. Mieszkał w romantycznym hotelu Hirschen. Obecny jego właściciel wraz z mieszkańcami gminy przygotował literacki szlak wędrowny. Szlak Eduarda Mörike istnieje od 200. rocznicy jego urodzin, czyli od 2004 r. Jest to szlak na jednodniową wyprawę w urozmaiconą górską przyrodę: od urokliwej wioski do Hochälpele, skąd Mörike podziwiał wraz z żoną piękny widok na Allgäu, góry i Jez. Bodeńskie. Tabliczki oznaczające szlak „mówiawierszem”.

www.schwarzenberg.at

Szlakiem zagospodarowania hal w Kleinwalsertal

„BergSchau” (Pokaz gór) w regionie Kleinwalsertal-Oberstdorf to szeroko zakrojony, transgraniczny przyrodoznawczy system informacji i oznakowania. Oprócz stałych wystaw przygotowanych w biurach informacji turystycznej Hirscheegg, w Oberstdorf i na Fellhorn stopniowo wytyczane są ścieżki dydaktyczne na takie tematy, jak geologia, zespoły roślin i zwierząt, zagospodarowanie górskich hal, leśnictwo. Nowością jest szlak informujący o tym ostatnim. Na pięciu stacjach przy historycznej drodze łączącej dolinę Kleinwalsertal i Oberstdorf wędrowcy mogą wiele dowiedzieć się na temat przyrody, gospodarowania na halach i na temat świata gór. Przy ścieżce znajduje się pięć stalowych kolumn, na których zamieszczone są teksty oraz trójwymiarowe zdjęcia i grafiki. Tematyka przechodzi od historii gospodarowania na halach, przez znaczenie stajni regionu Wals, po szczególne walory krajobrazowe i informacje na temat fauny.

www.kleinwalsertal.com

Wokół Rätikonu przez cztery wysokogórskie regiony

Wyprawa piesza wokół potężnego łańcucha wapiennych gór Rätikon przez Graubünden, Liechtenstein, Montafon i Alpejski Region Bludenz to projekt interregionalny. Wyprawa w wersji z transportem bagażu lub bez trwa w sumie dziewięć dni. Na trasie czekają schroniska Związku Alpejskiego i górskie restauracje, nietknięta przyroda poza uczęszczanymi szlakami turystycznymi.

www.alpenregion.at

Ścieżki dydaktyczne w Montafon

W regionie Montafon oferta zorganizowanych pieszych wędrowek jest szczególnie bogata i proponuje coś więcej niż tylko obcowanie z przyrodą: ścieżki dydaktyczne wprowadzają w świat kultury, historii, piękna, aż po literaturę śladami Ernesta Hemingwaya. Od maja do października przewodnicy proponują codziennie jedną lub dwie wędrowki, łatwe i trudne, w ofercie także wyprawy dwu lub wielodniowe do masywu Rätikonu, Verwall i Silvretty. Oto niektóre tematy wycieczek: górnictwo, przemysłnicy, tragarze, życie pierwszych mieszkańców regionu, życie na wsi, bogactwo wody, legendy, baśnie. Wybrane wyprawy noszą nazwę: Via Valtellina, W kapeluszu wędrowca do kucharskiej czapki, Szlakiem przemysłników na cesarskie menu, Pętla Madrisa.

www.montafon.at

AOIT

Foto:

Krzysztof R. Mazurski

KOPALNIA ŻŁOTA

Złoty gość

W Kopalni Żłota w Żłotym Stoku odbyła się 22. września niezwykła uroczystość. Związana ona była z faktem, iż po raz pierwszy w 11-letniej historii funkcjonowania Podziemnej Trasy Turystycznej miejsce to (w ujęciu rocznym) odwiedził 100-tysięczny gość. Grupa wycieczkowa z Zawady koło Zielonej Góry była tą szczęśliwą, w której znalazła się stutysięczna w 2007 r. osoba. Okazała się nią Józefa Dylińska, mieszkanka Zawady. Wyraźnie wzruszona Pani Józefa odebrała okazały kosz kwiatów od właścicielki obiektu Elżbiety Szumskiej, otrzymała też ufundowany przez Kopalnię weekendowy pobyt dla dwóch osób w przyszłym sezonie turystycznym. Nie obyło się także bez okolicznościowej lampki szampana oraz chóralnym odśpiewaniu „Sto lat”.



pomarańczowa lokomotywa górnicza LDAG ciągnąca wagoniki jest już do obejrzenia na stronie www.kopalniazlota.pl.

Magia złota, niezwykła atmosfera, z jaką spotykają się turyści w Kopalni Żłota, wielka i stale zmieniająca się ilość oferowanych tu atrakcji, powoduje, że z roku na rok stale rośnie liczba osób chętnych do odwiedzenia tego miejsca. Szacunki wskazują, że tegoroczny wzrost liczby zwiedzających sięgnie 20% w porównaniu z rekordowym także rokiem ubiegłym. Dla tych wszystkich, którzy już kiedyś byli i dla tych, którzy przyjadą tu po raz pierwszy, szykowana jest już „kolejna” nie lada atrakcja. W udostępnionym w kwietniu tego roku nowym odcinku trasy turystycznej w Sztolni Czarnej Dolnej już niebawem pojedzie podziemna kolejka wywożąca turystów z głębi wyrobisk na powierzchnię. Pięknie wyremontowana,

Tekst: *M. Suszyński, T. Śnieżek*
Fot: *Jacek Gruźlewski*

Z „ZIELNIKA” ROSTAFIŃSKIEGO (CZ. 1)

Agrest (*Ribes uva crispa*)

- Gałązki z liściem w oknach, we drzwiach, czary, gusła, w domu nie dopuszcza.

Aloes (*Aloe spec.*)

- Przyłożony na pępek zabija glisty.

Babka (*Plantago major*)

- Sok piegi z lica spędza
- Jest środkiem przeciw czarom
- Nasienie plastrowane chroni od poronienia.

ZNOWU BYLIŚMY NA TURBACZU

O Spotkaniu Rodzinnym Czytelników NS

Zgodnie z zapowiedzią odbyło się pod koniec sierpnia I Spotkanie Rodzinne Czytelników „Na Szlaku”. Do schroniska PTTK na Turbaczu dotarło 17 osób z Łożisk, Torunia, Bełchatowa, Sieradza, Dębicy, Tarnowa i Kamiennej Góry. Reprezentowane były 4 rodziny grupowo i 4 rodziny indywidualnie – wszystkie uprawiające różne dziedziny turystyki z przewagą górskiej. Jeśli chodzi o dzieci, to dwa maluszki – Jaś i Piotruś (2,5) przyjechały z rodzicami schroniskowym samochodem, a Szczepan i Krzyś (3,5 i 6,5) przywędrowali z Kowańca na własnych nogach z własnymi plecakami. Marszowi sprzyjała pogoda i pokaźne zasoby jagód po drodze. Był jeszcze tandem ojciec i syn z Bełchatowa, rodzinny tercet z Tarnowa i Kamiennej Góry, a pozostali to pojedynczy reprezentanci turystycznych rodzin i jedna „singielka”. Był niezawodny uczestnik wielu „naszlakowych” spotkań Janek Kania oraz inni uczestnicy („Łosie”, bełchatowianie), co najmniej kilku wcześniejszych Spotkań.



Od strony turystycznej było to bardzo udane spotkanie. Odbyło się sześć wycieczek odnotowanych w „zeszycie wyjść” i kilka spacerów nierejestrowanych na piśmie. Na trasie wycieczek znalazły się, oprócz szczytu Turbacza i najbliższej Długiej Hali: Jaworzyna Kamienicka, Dolina Kamienicy, Przeł. Borek, schr. Bene, Obidowiec, Stare Wierchy, Suchora i Tobołów, Koninki, Czoło Turbacza, Średni Wierch, Parzygnatówka, Dolina Lepietnicy. Wędrowano w zespołach czteroosobowych, największa ekipa licząca dziesięć osób „zdobywała” Średni Wierch i przemierzała Dol. Lepietnicy. Była to wycieczka głównie „bez znaków”, jako że grzbietem od Rozdzieli przez Średni Wierch do Parzygnatówki wiedzie nieznakowana ścieżka, a i dalsza wędrownka wzdłuż Lepietnicy do schr. Bene odbywała się z wykorzystaniem ścieżek w dolinie i na zboczach. Inny znaczący fragment trasy wycieczki „bez znaków” to ścieżka od północno-zachodniego skraja hali na Jaworzynie Kamienickiej do Przeł. Borek. Ścieżka ta jest dobrze zaznaczona na mapie GPN wyd. Rewasz. Na swój użytek nazwałem ją „Jarzębinową Percią”, a zostanie opisana kiedyś w oddzielnym tekście. Sporo wysiłku kosztowało przejście trasy Turbaczu – Suchora – Tobołów – Koninki (Hucisko) – Czoło Turbacza – Turbaczu, a zwłaszcza dwa, trzy strome odcinki na niebieskim szlaku od Hucisk do Czoła Turbacza. Najmłodszy uczestnik Spotkania – Jaś i Piotruś, preferowali najbliższe okolice schroniska zapuszczając się na Czoło Turbacza.



Wieczory spędziliśmy w sali kominkowej oglądając zdjęcia i przezrocza z różnych czasów i różnych gór, i omawiając przebyte trasy. Dzieci mogły posłuchać bajek i opowiadań ilustrowanych obrazkami z książek wyświetlanymi za pomocą rzutnika. Gwoździem programu okazała się relacja dwóch Mirków (Sadowski i Sobieraj) z wyprawy na Islandię. Spotkanie z p. Długopolskim, gospodarzem na Turbaczu, z powodu dużego ruchu w recepcji zostało przesunięte na niedzielny poranek przy okazji sesji fotograficznej.



Sprzyjała nam pogoda i oprócz burzowej nocy z 23. na 24. sierpnia nie było żadnych pogodowych nieprzyjemności. Nawet pochmurne poranki w sobotę i niedzielę to tylko „strachy na Lachy”. Do południa wypogadzało się i nic nie przeszkadzało w przemierzaniu okolicznych szlaków. W sobotę przez Turbaczu maszerowali uczestnicy Marszonu Szczawnica – Luboń Wielki, których spotkaliśmy w rejonie Rozdzieli – pozdrowienia dla Kuby Terakowskiego i dzielnych „marszonistów”! Jeszcze w niedzielny poranek wspólne zdjęcie, spacer do kaplicy i msza, no i pożegnanie. Przy dobrej pogodzie z widokami na Pieniny, Tatry i inne góry (Niżne Tatry, Mała Fatra, W. Chocz) powróciliśmy w doliny. Jeszcze nie ma planów na przyszłość, jeśli chodzi o następne lato, ale można już myśleć o zimowym spotkaniu w Jaśliskach, na które już teraz zapraszam.

Julek Wystouch

VIII SPOTKANIE ŚLADOWE NS 'Jaśliska 2008

Już teraz zapraszamy na VIII Spotkanie Śladowe „Na szlaku”, czyli w nomenklaturze Komisji Turystyki Narciarskiej na VIII Spotkanie Narciarzy Śladowych. Taką nazwę nosi ta impreza w „Planie działalności KTN na sezon zimowy 2007/2008”. Spotkanie odbędzie się w **Jaśliskach w Beskidzie Niskim 7-10.02.2008 r.** Głównym organizatorem jest KT „Ostańce” z Zawiercia pttk.zawiercie@neostrada.pl wspierany przez „Na szlaku”. Propozycje tras przygotowuje Andrzej Stróżecki i niżej podpisany, ale jesteśmy otwarci na własne pomysły uczestników. Zapraszamy dotychczasowych uczestników poprzednich Spotkań Śladowych i wszystkich zainteresowanych tą formą turystyki zimowej, czyli wędrowką na nartach śladowych i biegowych. O szczegółach poinformujemy w kolejnym komunikacie na łamach NS.

Zapraszają:
Andrzej Stróżecki i Juliusz Wysłouch

NAJLEPSZY PODMIOT TURYSTYCZNY REGIONU REGULAMIN KONKURSU

Organizatorzy: **Dolnośląska Organizacja Turystyczna**

Cel Konkursu: Konkurs ma na celu wyłonienie najlepszego podmiotu turystycznego regionu Dolnego Śląska w kilku kategoriach tematycznych.

Kandydatury na najlepszy podmiot turystyczny regionu można zgłaszać w kilku podkategoriach:

- touroperator regionalny-turystyka przyjazdowa
- gestor bazy noclegowej w regionie
- gestor bazy gastronomicznej
- stowarzyszenie turystyczne

Nagrody

Na podstawie zgłoszenia i niniejszego Regulaminu Jury (powołane uchwałą DOT) przyznaje Honorowe Nagrody Prezesa Dolnośląskiej Organizacji Turystycznej w każdej kategorii. Zwycięzcom przyznane zostaną także nagrody-niespodzianki.

Grupa docelowa i warunki uczestnictwa

a. Konkurs skierowany jest do wszystkich osób i instytucji oraz organizacji, a także samorządów terytorialnych zainteresowanych rozwojem turystyki w regionie poprzez wspieranie najlepszych podmiotów branży turystycznej w kategoriach konkursowych oraz do samorządów gospodarczych, stowarzyszeń i fundacji, środków masowego komunikowania.

b. Termin nadsyłania zgłoszeń upływa 31 grudnia 2007 roku

c. Każdy zgłaszający ma prawo do zgłoszenia jednej kandydatury w danej podkategorii

d. Zgłoszenie kandydatury, oprócz karty stanowiącej załącznik do Regulaminu obejmuje inne materiały świadczące o atrakcyjności promocyjnej zgłaszanej do konkursu kandydatury (materiały drukowane, fotograficzne i inne na CD).

Sekretariat Konkursu, na adres którego należy przysyłać zgłoszenia, znajduje się w Dolnośląskiej Organizacji Turystycznej, 50-116 Wrocław, Igielna 13, tel. 071 344 11 09, fax 071 344 11 09, e-mail: dot@dot.org.pl. Ten adres e-mail jest chroniony przed spamerami, włącz obsługę Javascript w przeglądarce, by go zobaczyć.

Szczegółowe wyjaśnienia: Marta Zawila-Piłat: zawila@dot.org.pl Ten adres e-mail jest chroniony przed spamerami, włącz obsługę Javascript w przeglądarce, by go zobaczyć , tel. 071 344 11 09, fax 071 344 11 09.



JUŻ 3 000 DRZEW KLIENTÓW TRAVELONE.PL

Po pierwszym miesiącu akcji „Posadźmy za Ciebie drzewo” Grupa Portali TravelOne.pl przygotowuje dla swoich klientów 3000 sadzonek!

Grupa Portali TravelOne.pl i Fundacja Aeris Futuro rozpoczęły 1. sierpnia wspólną akcją „Posadźmy za Ciebie drzewo”. Za każdą rezerwację dokonaną w TravelOne.pl firma funduje drzewo, przyczyniając się w ten sposób do redukcji szkodliwej emisji dwutlenku węgla, który powstaje podczas podróżowania. Pierwszy miesiąc akcji spotkał się z ogromnym zainteresowaniem wśród klientów, dzięki czemu powstanie niemal pół hektara lasu. Drzewa zostaną posadzone w październiku w Beskidach, u podnóża Babiej Góry. Akcja jest częścią większego programu ochrony dziedzictwa kulturowego i przyrodniczego „Chroń, aby poznawać”. Dzięki niemu TravelOne.pl chce rozpowszechnić wśród swoich klientów modę na „odpowiedzialne podróżowanie”.

NIE BĘDZIE ELEKTROWNI WODNEJ W PRZESIECE

Wojewoda Dolnośląski Krzysztof Grzelczyk wydał decyzję uchylającą decyzję Starosty Jeleniogórskiego i odmówił wydania pozwolenia wodnoprawnego na wykonanie Małej Elektrowni Wodnej na potoku Podgórna w Przesiece.

Projektowana inwestycja jest niezgodna z ustaleniami miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego. Ponadto w uzasadnieniu przypomniano, że budowa elektrowni zagraża walorom krajobrazowym wodospadu na potoku Podgórna i ochronie środowiska naturalnego. Wykorzystanie możliwości technicznych do pozyskania energii elektrycznej nie może jednocześnie powodować degradacji innych wartości środowiska naturalnego.

W Uchwale Rady Gminy Podgórzyn z dnia 6.11.2000 r. (Dz. Urz. Województwa Dolnośląskiego Nr 18 poz. 187 z 2001 r.), zatwierdzającej miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego, znajduje się zapis, mówiący że działka, na której była planowana elektrownia wodna, usytuowana jest na terenie, gdzie obowiązuje „zakaz zabudowy, który nie dotyczy urządzeń infrastruktury technicznej realizowanej dla potrzeb lokalnych.” Urząd Gminy w Podgórzu wydał zaświadczenie potwierdzające zgodność planowanej inwestycji z ustaleniami miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego, powołując się na zapis z uchwały w brzmieniu „zakaz zabudowy, który nie dotyczy urządzeń infrastruktury technicznej realizowanej dla potrzeb lokalnych, w tym elektrowni wodnych”. Pozwolenie zostało więc wydane przez Starostę Jeleniogórskiego w oparciu o dokument poświadczający nieprawdę w odniesieniu do ustaleń miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego. Wojewoda Dolnośląski zawiadomił Prokuraturę Rejonową w Jeleniej Górze o podejrzeniu popełnienia przestępstwa.

*Biuro Prasowe
Wojewody Dolnośląskiego*

Wrocław, 4 września 2007 r.



U KRESU WĘDRÓWKI

MIEJSCA PAMIĘCI – BYKOWNIA

Latem 2006 r. dość często w polskiej prasie i w polskim radiu przewijał się temat Bykowni na Ukrainie. Tym niemniej nadal, z niejakim zdziwieniem, stwierdzam, że większości Polakom, nawet tym najbardziej chyba interesującym się historią naszych ziem, czyli krajoznawcom, hasło to jest zupełnie obce. Może nie należy się temu dziwić, skoro mimo niestrudzonej od lat działalności Heleny Pasierbskiej nie mniej obce wydają się podwileńskie Ponary, a według ostatnich badań – związanych z najnowszym filmem Andrzeja Wajdy, aż 40% Polaków sądzi, że zbrodni katyńskiej dokonali Niemcy. Tymczasem aktualny stan prac w Bykowni wskazuje, że i tam pogrzebano ciała polskich więźniów Ostaszkowa-Starobielska-Kozielska. Jest to więc miejsce, które nie sposób pominąć.



Pomnik więźnia przy drodze w głąb lasu.



Krzyże przy pomn. więźnia. Szosa z Kijowa do Browarów.



Droga mogił.



Tu pochowano tysiące niewinnych. Pokłoń się ich prochom.



Bykownia to niewielka osada pod samym Kijowem, przy ruchliwej trasie Kijów – Browary – Czernihów; osada wręcz z owej szosy niewidoczna. Gdy jedzie się popularną „marszrutką” (bus to podstawowy na Ukrainie środek komunikacji publicznej) od końcowej stacji metra „Lisowa”, tuż za granicą ukraińskiej stolicy widzi się po prawej stronie szary pomnik więźnia wspartego o głaz, a przy nim rząd metalowych krzyży. Tuż przed pomnikiem odchodzi w prawo, w las, dość szeroka utwardzana droga otoczona kolejnymi metalowymi krzyżami i drzewami oznaczonymi charakterystycznymi szarfami i innymi znakami narodowymi oraz, gdzieś tam, tabliczkami z podstawowymi informacjami o osobie spoczywającej w tym miejscu; właściwie tych tabliczek nie jest wcale tak mało, jednak brak ich na większości tych, na których widnieje wstęga biało-czerwona. I te niesamowite drzewa oraz, od czasu do czasu, głazy z przejmującymi tekstami prowadzą dość głęboko w las. Aż w końcu droga skręca w prawo i wtedy oczom przybysza ukazują się z lewej strony obozu badaczy ukraińskich i polskich, z prawej – ustawiony na postumencie krzyż.

Trasę z Kijowa do szkoły w Browarach przemierzałam „marszrutkami” od końca sierpnia do początku listopada 2006 r. kilka razy w tygodniu.

Julian Onyszkiewicz, 1940.

Wiedziałam, że od połowy lipca prace ekshumacyjne – kontynuację poszukiwań prowadzonych w tym miejscu w październiku i listopadzie 2001 r., wykonuje tam kilkunastu polskich specjalistów, m.in. lekarzy medycyny sądowej, pod kierunkiem prof. Andrzeja Koli. Jednak dopiero na przełomie października i listopada udało mi się znaleźć czas i odwiedzić to miejsce. Nie był to dobry moment – zimno, ponuro..., ale przede wszystkim żal, że nie ma akurat nikogo z polskiej ekipy, gdyż wszyscy pojechali właśnie do kraju – na groby bliskich. Poinformowali mnie o tym pracujący tam Ukraińcy. Na moje pytanie o tak niewielką ilość polskich tablic odpowiedzieli, że będą, że prace tam potrwać jeszcze z pewnością kilka lat. Niestety, nie potrafili mi wyjaśnić, dlaczego tabliczki poległych Polaków są wypełnione cyrylicą.

W internecie można znaleźć między innymi informację: „Chodzi o trudną do ustalenia liczbę Polaków z listy 3,5 tys. nazwisk widniejących na tzw. „Ukraińskiej liście katyńskiej” zawierającej nazwiska Polaków więzionych przez NKWD na Zachodniej Ukrainie. W Bykowni znajdują się szczątki nie wiadomo jak licznej grupy (...) – m.in. oficerów, policjantów i urzędników z tej listy – więzionych w Kijowie, Charkowie i Chersoniu. Zostali zamordowani przez NKWD na podstawie decyzji władz ZSRR z 5 marca 1940 roku (...) Wiosną 1940 zamordowano 22 tysięcy polskich oficerów i cywilów. Wśród nich 15 tysięcy stanowili więźniowie obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie. NKWD rozstrzeliwało ich w Katyniu, Charkowie i Twerze”.

We wrześniu 2007 r., nie tylko w związku z nadal prowadzonymi pracami, ale także w wyniku wskrzeszenia tematyki katyńskiej przez Andrzeja Wajdę, powrócił na antenę radiową (Program 3) motyw Bykowni. **Podaje się, że miejsce to kryje 30 tys. zabitych (w różnych miejscach, nie tylko wymienionych wyżej), w tym 3 tys. Polaków. I**

Polskie symbole.

Jak widać na zdjęciach, nie jest to miejsce zapomniane przez Boga i ludzi. Tuż przed moją wizytą odwiedziła je oficjalna delegacja polska, która złożyła kwiaty pod krzyżem. Znają je i pamiętają o nim także Polacy i Ukraińcy mieszkający w Kijowie i okolicy – podczas „polskiej” (przychodzą na nią również Ukraińcy) mszy w kijowskim kościele św. Aleksandra pod koniec października 2006 r. zapowiedziano nabożeństwo Święta Zmarłych w pierwszych dniach listopada w miejscu kaźni i spoczynku: „Tysiące niewinnych ofiar...”.

I trzeba o nich pamiętać. Nie po to, by rozdrapywać rany, lecz choćby po to, by nie zapomnieć, że to także nasz wspólny, polsko-ukraiński, ból.



Tekst i zdjęcia: *Maria Litwiniak*



WYGODNIE I BEZPIECZNIE, CZYLI PORADNIK TURYSTYCZNY

NIE SZATA ZDOBI... TURYSTĘ

Popularne powiedzenie głosi, że „nie szata zdoobi człowieka”, odnosząc się do tego, iż nie zawsze wysokiej jakości powierzchowność idzie w parze z rzeczywistą wartością osoby. Podobnie w turystyce. Nie zawsze nowoczesny, drogi i wysokiej jakości sprzęt, wyposażenie i ubiór gwarantuje bezpieczeństwo na szlaku. Powiem więcej – wcale nie gwarantuje sukcesu w górach, bezpieczeństwa i wszelkiego powodzenia. Skąd taka teza? Ano stąd, że choćby nasi alpiniści (himalaiści) zdobywający jeden po drugim 7- i 8-tysięczniki w latach 70. i 80. ub. wieku wyposażeni byli tak, że większość dzisiejszych turystów nawet nie spojrzalaby na taki sprzęt. Pomijam pewne szczególne elementy wyposażenia robione według pomysłów alpinistów na zamówienie. Myślę o ubiorach, plecakach, kuchenkach, czołówkach i całej furze innego drobiazgu. Kiedy w połowie lat 70. pojawiły się w sklepach plecaki na stelażach aluminiowych, uchodziły one za szczyt możliwości sprzętowych, choć szybko spowszedniały. Potem na słynną zimową wyprawę na Everest uszyto plecaki „Everest”, które wkrótce weszły do masowej produkcji i przez chwilę stanowiły czołówkę w tej grupie wyposażenia. Dzisiaj obok takich plecaków niemal każdy turysta przeszedłby obojętnie, a wówczas himalaiści wyposażeni w podobny sprzęt zdobywali niemal wszystko, co było do zdobycia. A więc, co decyduje o sukcesie i bezpieczeństwie? Jednak nie sprzęt, chociaż jego jakość ma wielkie znaczenie. Ale bardziej jego stan techniczny, możliwość i umiejętność korzystania. Dzisiaj wszystko jest na wyciągnięcie ręki i leży na półkach sklepów turystycznych, więc każdy, kogo na to stać, może sobie kupić, co zechce. I wiele osób kupuje wyposażenie „z górnej półki”. Jedni dlatego, że wyrosli ze sprzętu wcześniejszej generacji lub po prostu zużył się, inni, bo mają pieniądze i przypuszczają, że tak nowoczesny i drogi sprzęt (ubiór) wydatnie przysłuży się do sukcesu na górskich szlakach.

No i spotyka górach spotyka się w górach turystów młodych i świetnie wyposażonych, a także starszych z wyposażeniem znacznie skromniejszym, prostszym, a nawet archaicznym, bo postęp materiałowy i techniczny jest tak szybki, że coś, co dziś jest „na topie”, za rok będzie standardem, a za dwa wylądaje w śmietniku. Tyle, że to ci starsi lepiej orientują się w turystycznym rzemiośle. Przyczyna jest prosta. Nie ciuchy i sprzęt za ciężkie pieniądze decydują o bezpieczeństwie, tylko doświadczenie. Piszę o bezpieczeństwie, bo jeśli chodzi o wygodę, to częściej współczesne produkty przewyższają te starsze. Częściej, bo nie zawsze i to te rzeczywiście markowe z materiałów oryginalnych najwyższej jakości. Klasyczny przykład to ubiory typu anoraki i spodnie szyte z materiałów wodoodpornych. Klasykiem jest GORE-TEX i tak naprawdę wszelkie innetaxy to tylko imitacje, o czym coraz częściej przekonują się zawiedzeni użytkownicy. Ot, kupił kurtkę za 200-300, 500 zł, a ta przecieka. A na metce wypisane, ileż to milimetrów słupa wody wytrzyma materiał. Owszem, wytrzyma, ale w laboratorium. Co innego badania i symulacje, co innego eksploatacja. Dlatego, jeśli kogoś stać, niech kupuje ubiory z prawdziwych materiałów wodoodpornych, czyli z GORE-TEXu i omija inne o podobnie brzmiących nazwach. Jeśli kogoś nie stać, niech zostanie przy tradycyjnym poliamidzie (ortalionie – starsi pamiętają). Różnica w cenie od 5-1 do 10-1, a przynajmniej nie ma się kaca, że rewelacyjny zakup okazał się strzałem w płot. To tylko dygresja.

A co z tym doświadczeniem? Otóż już nie jeden raz okazało się, że młodzi turyści, mimo że dobrze wyposażeni, stawali się ofiarami wypadków. Na nic zdawały się znakomite ubrania, sprzęt, śpiwory, kuchenki. Oto dobrze wyposażeni ludzie zamierzają w górach, mimo że mają w plecakach wszystko, co jest potrzebne, nie tylko do wygodnego poruszania się w terenie, ale i do przeżycia. Wiele było takich tragicznych wypadków od Babiej Góry przez Tatry po Alpy. Dlaczego takie przypadki miewają tak tragiczne zakończenia? Zastanawiałem się nad tym często przywołując swoje doświadczenia i doświadczenia moich górskich znajomych. Weźmy taką sytuację.

Alpy, lipiec, późne popołudnie, miejsce akcji – wielka dolina pomiędzy szczytami ok. trzytysięcznymi, wysokość ok. 2500 m. Wokoło żywej duszy, bo szlak mało popularny. Po kilku pięknych dniach przychodzi w ciągu godziny totalne załamanie pogody. Pada śnieg, temperatura spada z 30° do zera. To dla organizmu szok, prawdziwy szok. I w tak „pięknych okolicznościach przyrody” kilkoro turystów. Co robią, wszak dzień się kończy, a do cywilizacji jeszcze kawał drogi. Zakładają biwak mając świadomość, ile mają żywności i wiedząc, gdzie się znajdują. Przecież marsz w nocy w tych warunkach nie ma sensu. Wiedzą, że w ciągu dnia łatwiej będzie się poruszać, nawet jeśli spadnie dużo, jak na lato, śniegu. Wiadomo, że w lipcu mróz nie utrzyma się długo, a załamanie pogody wynika z przechodzenia jakiegoś frontu pogodowego. To da się przeczekać. Jeden przeczeka, drugi nie. Zachowują spokój i odpoczywają przed, być może ciężkim następnym dniem i wychodzą z tego bez najmniejszego uszczerbku. A przecież łatwo w takich warunkach zrobić błąd, choćby decydując się na kontynuowanie marszu. Jakże łatwo wtedy o wypadek. A wychłodzenie i zamarznięcie? Przy takim skoku temperatury to największe zagrożenie. A jednak doświadczenie i właściwe skorzystanie z zawartości plecaków pozwala na bezpieczny biwak i przygotowanie się do następnego dnia. Inna, choć podobna sytuacja. Tatry Zachodnie. Biwak na grani, wysokość 2060 m. Także załamanie pogody. Spokojna, bezwietrzna noc zamienia się w ciągu godziny w koszmar z wichurą i śnieżną zadymą. Widoczność ok. 5 m. Jak to w Zachodnich Tatrach, od polskiej strony przepaściście, od słowackiej jedynie stromo. Na nogach trudno się utrzymać, nic nie widać poza śniegiem, trudno oddychać, o koncentracji mowy nie ma. Ale jest jedzenie na kilka dni, paliwo, odpowiednie ubrania i niepodarty namiot. No i wola przetrwania, żadnych pochopnych decyzji, a także kilkoro doświadczonych turystów. Czy można popełnić błąd? Oczywiście. W tym samym miejscu, tydzień później w podobnej sytuacji zginął turysta, który nie wytrzymał i postanowił schodzić. Daleko nie uszedł, a 300- metrowy upadek zakończył życie i turystyczną karierę.

Czy można przeżyć w górach w awaryjnej sytuacji jedną, czy trzy doby oczekując na pomoc, kiedy nie ma bezpośredniego zagrożenia typu lawina lub bardzo trudne warunki terenowe? Załóżmy, że to pora letnia, a załamanie pogody przynosi nawet kilkunastostopniowy mróz. Jeśli ma się odpowiednie wyposażenie, adekwatne do terenu i warunków, jakie można spotkać i zachowa się spokój – można. Ale to naprawdę wymaga myślenia i zimnej krwi, doświadczenia turystycznego i sukcesywnego poznawania gór oraz poznania swoich możliwości. Jeśli takiego doświadczenia zabraknie, jeśli zabraknie spokoju i racjonalnego działania, to na nic zda się najlepszy nawet sprzęt i ubiór. Starajmy się o tym pamiętać.

Sprzęt biwakowy, śpiwory i ubrania, jedzenie, kuchenka i paliwo uratują życie pod jednym warunkiem. Trzeba działać racjonalnie. Nie jest to łatwe. Wrogiem nr 1 jest wiatr i ciemność. Potrafi zniweczyć wszelkie działania zmierzające do założenia awaryjnego biwaku. Ale jeśli już uda się wykopać jamę w śniegu czy znaleźć miejsce umożliwiające postawienie namiotu, to cała reszta sprowadza się do wykonywania zwyczajnych biwakowych czynności. Oczywiście da się zrobić wszystko, jeśli nie stracimy dobytku na skutek jakiegoś wypadku. Zaleca się, na przykład, pozbycie się plecaka w przypadku zbliżającej się lawiny śnieżnej. Chodzi o to, aby zwiększyć swoje szanse utrzymania się na powierzchni śniegu. Jednak strata plecaka stawia turystę w sytuacji krytycznej. A na to już mądrych nie ma, bo turysta zostaje w tym, co ma na sobie i z tym, co ma w kieszeniach. O tym też trzeba pamiętać

Juliusz Wysłouch

POZNAJ SWÓJ KRAJ...

Wstyd to wielki nie znać swojej ojczystej ziemi,

- Piękna jest Polska w zimowej bieli, w jasno-zieloną

kwiecistą wiosnę, w złociste lato i w owocną jesień,

- Piękna jest Polska w górach i równinach, w lasach,

polach, łąkach, piękna jest na lądzie i w wodzie,

piękna w miasta i wsiach.

- Ziemia to karty księgi, czytaj ją i oglądaj jej obrazy.

- Poznaj swój kraj, abys go mógł gorąco ukochać.

- Poznaj swój kraj, abys umiał nim gospodarzyć.

- Kochaj każdy skrawek tej ziemi i każdego Polaka,

bo ziemia to twoja matka, a Polak to twój brat.

Aleksander Janowski

Na kolekcjonerskim szlaku – "4K"

KOLEKCJONERSTWO KRAJOZNAWCZE W PTTK JAKO RUCH KULTUROTWÓRCZY

(w 100-lecie utworzenia Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego)

Ruch kolekcjonerski ma wysoce użyteczne społecznie, kulturotwórcze znaczenie. **Nadrzędną jego przesłanką jest zabezpieczenie przed zagładą i zapomnieniem przedmiotów kultury materialnej oraz związanych z obyczajowością. Prawdłowo gromadzone zbiory mają też przydatność naukową, umożliwiają dokumentację, badanie i upowszechnienie wiedzy.**

Działalność kolekcjonerska wpływa na rozwój intelektualny, wzbogaca osobistą wiedzę, pobudza wyobraźnię, aktywizuje twórczo inspirując podejmowanie opracowań związanych z różnymi przedmiotami i z bogatą problematyką. Kolekcjonerstwo daje osobiste zadowolenie oraz umożliwia zagospodarowanie czasu wolnego w sposób interesujący i pożyteczny. Niejednokrotnie też udział w ruchu kolekcjonerskim stanowi rekompensatę wobec wyobcowani ze środowiska i ułatwia więz z grupami społecznymi; ponadto wydatnie wspiera rehabilitację zdrowotną, aktywizuje też młodzież w zakresie przyswajania wiadomości przydatnych w nauczaniu. Na takich też w zasadzie przesłankach opiera się kolekcjonerstwo w PTTK, tyle że traktuje się je specjalistycznie określając jako **kolekcjonerstwo krajoznawcze**. Owa specjalistyka polega – w skrócie, na takim gromadzeniu zbiorów, aby umożliwiały one poznanie tematu związanego z jakąś dziedziną wiedzy o kraju (o regionie, problemie, ludziach itd.). Oto tok działalności kolekcjonerskiej: od gromadzenia popularnych pamiątek z uczestnictwa w wycieczkach i innych imprezach – do tworzenia wyspecjalizowanych kolekcji różnych przedmiotów i ich opracowania; następna faza to wykorzystanie zbiorów w popularyzacji krajoznawstwa i w dokumentacji krajoznawczych treści; a wreszcie zabezpieczenia zbiorów, aby się nie rozproszyły. Istnieją więc w działalności kolekcjonerskiej dwa nurty: popularny, łatwiejszy w praktyce, o potencjalnych walorach rozwojowych, który służy krzewieniu zainteresowań krajem ojczystym i nurt pogłębiony o kierunkach badawczych i twórczych. Efekty kolekcjonerstwa krajoznawczego są wymierne. Dzięki zamięłowaniu naszych kolegów, pogłębionym czynnikami emocjonalnymi i wspartymi określoną wiedzą, odnalezione zostały i oddane w służbę społeczną różne przedmioty. Odkryto je nieraz podczas turystycznych wypraw i penetracji terenu, niejednokrotnie wśród rupieci, w składach makulatury i złomu, albo przejęto lub wykupiono od niezających merytorycznej wartości rzeczy posiadaczy. Trafiały się przedmioty cenne, ale przeważnie tzw. drobiazgi, lecz jakże liczące się w krajoznawczym zbiorze i wzbogacające wiedzę o regionie, zagadnieniu, dziejach - o kulturze. Jakieś zapomniane ilustracje: fotografie, pocztówki stały się źródłem służącym do poznania obiektu, który uległ zniszczeniu lub znacznym przemianom, do poznania szczegółów stroju, obyczajów, epizodów historii ojczystej... Stare prymitywne narzędzie dało świadectwo sposobu i rodzaju pracy, a jakiś inny przedmiot – sposobu życia, co jest przecież częścią regionu, a więc i kraju. Jakiś pisany dokument, odznaka, błaha pamiątka przypomniały o treści działalności określonej grupy społecznej, organizacji – często ogniwa naszego Towarzystwa... Odpowiednio opracowane zbiory krajoznawcze służą do upogładowienia wykładów i prelekcji, do wystroju lokali klubów, biur i schronisk, do prac inwentaryzacyjnych, badawczych i autorskich, do urządzania pokazów i wystaw towarzyszących m.in. imprezom turystyczno-krajoznawczym lub organizacyjnym PTTK (np. na CZAK). Osobno trzeba wymienić wystawy ukazujące dorobek kolekcjonerski w Towarzystwie a eksponowane w Płocku, w Łodzi, wielokrotnie w Warszawie, Lublinie, Krakowie i innych miastach.

Najwyższą rangę w kulturotwórczej roli kolekcjonerstwa mają ekspozycje stałe. Kolekcjonerzy-krajoznawcy przyczynili się do utworzenia w PTTK kilkudziesięciu muzeów i izb regionalnych, etnograficznych, biograficznych, pamięci narodowej itp., a także zasilili zbiory: Biblioteki Narodowej w Warszawie, Muzeum Sztuki Medalierskiej we Wrocławiu, Muzeum Sportu i Turystyki w Łodzi, Muzeum

Blachy Turystycznej w Poznaniu oraz zbiory pamiątek i działalności naszego Towarzystwa w różnych miastach oraz wiele innych. Nie zapominamy – w setną rocznicę utworzenia Towarzystwa – o szczytnych tradycjach tego ruchu, o jego twórcach, jak m.in.: **Tytus Chalubiński** – działacz Towarzystwa Tatrzańskiego, a zwłaszcza **Zygmunt Gloger** – pierwszy prezes Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, **Aleksander Janowski** – ojciec krajoznawstwa, **Leopold Węgrzynowicz** – przewodniczący kół krajoznawczych młodzieży szkolnej PTK. Dzięki takim działaczom- kolekcjonerom utworzono w okresie międzywojennym 26 muzeów i kilkadziesiąt mniejszych ekspozycji stałych. Niektóre z nich stały się zaczątkiem muzeów regionalnych i państwowych. Cały zaś ten ruch przyczynił się do krzewienia znajomości kraju i uczuć patriotycznych.

Tak przedstawione kolekcjonerstwo jest ważką częścią warsztatu działacza turysty-krajoznawcy i liczy się w dorobku osobistym lub zespołowym: indywidualnego członka PTTK, koła, oddziału, klubu lub komisji, pracowni regionalnej, placówki muzealnej PTTK itd., a wreszcie w dorobku ogólnospołecznym. I taki właśnie rodzaj kolekcjonerstwa jest fragmentem tradycyjnej działalności programowej naszego Towarzystwa: zostało to współcześnie uznane przez Kongresy Krajoznawstwa w Płocku (w 1980 r.), Opolu (w 1990 r.) i Gnieźnie (w 2000 r.) oraz zatwierdzone przez Zarząd Główny PTTK, a realizowane przez Komisję Krajoznawczą ZG PTTK – Podkomisję Kolekcjonerstwa Krajoznawczego, obecnie Zespół do Spraw Kolekcjonerskich, stanowiąc wkład w kulturotwórczą działalność społeczną.

Adam Czarnowski



DEKLARACJA VI FORUM POLSKIEJ TURYSTYKI

Uczestnicy debaty na VI Forum Polskiej Turystyki w Warszawie z satysfakcją odnotowują fakt zwołania i organizacji przez Radę Polskich Organizacji Turystycznych, Hotelarskich i Gastronomicznych obrad Forum. W skomplikowanym dla polskiej turystyki okresie sporów i arbitralnych decyzji Forum jest miejscem autentycznej wymiany poglądów i identyfikowania prawdziwych problemów turystyki w Polsce. Jesteśmy przekonani, że dorobek Forum może być dobrze wykorzystany przez nowe kompetentne władze polskiej turystyki ukształtowane po najbliższych wyborach. Władze, które jasno określą politykę turystyczną kraju i źródła jej finansowania, potrafią harmonijnie współpracować z organizacjami samorządu turystycznego, a także będą mądrze i skutecznie reprezentować Polskę na arenie międzynarodowej. Uczestnicy debaty wyrażają przekonanie, iż obrady Forum należy kontynuować z udziałem nowo wybranych władz, a ich celem powinno być wypracowanie mądrego programu i strategii rozwoju turystyki. Programu pozwalającego na uszanowanie i wykorzystanie dorobku poprzedników, przy realizacji którego znajdzie się miejsce dla wszystkich organizacji i osób chcących dobrze służyć Polsce bez względu na polityczne poglądy i partyjną przynależność. Turystyka bowiem jest i powinna być apolityczną ważną gałęzią gospodarki narodowej.



PIĄTE WYDANIE ZNANEGO PRZEWODNIKA PO POLSCE

Na początku 2007 r. ukazała się książka Marii i Przemysława Pilichów „Polska: ilustrowany przewodnik” (Warszawa, MUZA SA) Jest to piąte, zaktualizowane i uzupełnione wydanie (pierwsze ukazało się w 1999 r.). Przewodnik liczy 944 strony, zawiera 1318 hasel geograficznych, jest bogato ilustrowany (ponad 1200 zdjęć i rysunków, wiele map, planów miast, planów i rzutów obiektów zabytkowych). Można jeszcze dodać, że waży 1,25 kg i ma format 122x185 mm.

Polskę zaprezentowano w układzie wojewódzkim. Opisano ciekawsze miasta, wszystkie parki narodowe, niektóre pasma górskie, cykliczne imprezy. Mimo dużej objętości wiele miejscowości z konieczności, z powodu braku miejsca, pominięto. Polska jest bowiem bardzo ciekawym krajem, z czego często nie wszyscy zdają sobie sprawę. W sprzedaży znajduje się obecnie kilka przewodników po Polsce. Fakt, że omawiany tutaj tytuł doczekał się aż pięciu wydań, świadczy, że ze względu na swoje walory książka została dobrze przyjęta przez czytelników. Podaje rzetelne informacje uzupełnione licznymi ciekawostkami (np. o tym, że na Starym Mieście w Olsztynie jest Zaułek „Stawki większej niż życie” – w mieście nakręcono kilka odcinków tego serialu). Cały czas znajduje nabywców, mimo że jest dość droga.

Nowe wydanie to kilkaset zmian, uzupełnień, poprawek. Wszystko bowiem w naszym kraju się zmienia. Przybywają nowe atrakcje turystyczne, nowe muzea, a z drugiej strony płoną drewniane kościoły i cerkwie, przestają istnieć kolejne zabytki. Autorzy, wędrując od lat po Polsce, ciągle weryfikują własne teksty. Korzystają też z informacji przyjaciół z całego kraju, najczęściej też autorów przewodników. Przykładem nowych atrakcji turystycznych jest wieś Bałtów nad Kamienną. Stała się ona po Świętokrzyskim Parku Narodowym i Świętym Krzyżu największą atrakcją turystyczną woj. świętokrzyskiego, a jeszcze kilka lat temu turyści zaglądali tam bardzo rzadko. W ostatnich latach powstał w Bałtowie park dinozaurów (z modelami naturalnej wielkości), muzeum jurajskie ze skamieniałościami, stadnina koni. Uruchomiono spływ rzeką tratwami, w młynie z XIX w. są pokazy mielenia mąki, w zimie czynny wyciąg narciarski. Jest więc, jak widać, mnóstwo atrakcji. Wszystko zaś zaczęło się od tego, że geolodzy uważnie obejrzelili wapienną skałę zwaną Czarcią Stopką nad Kamienną. Ślad stopy diabła okazał się śladem drapieżnego dinozaura zwanego allozaurum. Jego model naturalnej wielkości stoi budynkiem przed Urzędem Gminy w Bałtowie.

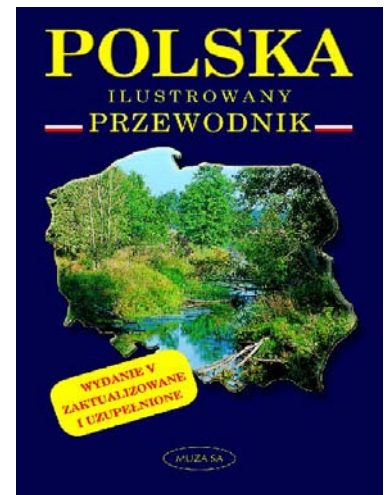
W przewodniku można też znaleźć informację o uruchomionej w październiku 2006 r. w Krakowie na Plantach (blisko filharmonii) fontannie w formie fortepianu ze strunami i młoteczkami. Wykonana została ona według rzeźby Marii Jaremy z 1949 r. „Fryderykowi Chopinowi”. Można dowiedzieć się, że w Olsztynie w Muzeum Przyrody (w pałacyku przy ul. Metalowej) prezentowane są bogate zbiory świata zwierząt Warmii i Mazur, m.in. wypchany sum gigantycznych rozmiarów. Można znaleźć informację o „Laboratorium Frankensteinia” – atrakcji regionalnej izby pamiątek w budynku XVI-wiecznego dworu (ul. Krzywa 1) w Ząbkowicach Śląskich. Można przeczytać o umieszczonych ostatnio na Liście Dziedzictwa Światowego UNESCO polskich obiektach: Parku Mużakowskim (2004 r.) – najwspanialszym ogrodzie XIX-wiecznej Europy (w Polsce 522 ha i 206 ha w Niemczech) i Hali Ludowej we Wrocławiu (2006 r. pod swoją pierwotną nazwą Hala Stulecia) – przykładzie pionierskiego zastosowania na pocz. XX w. stali konstrukcyjnej przy wznoszeniu dużych obiektów.

Jest opisane otwarte w 2004 r. w Warszawie w przebudowanych i zaadaptowanych budynkach d. elektrowni tramwajowej przy ul. Przyokopowej Muzeum Powstania Warszawskiego. Znajduje się tam m. in. zrekonstruowany w skali 1:1 amerykański bombowiec Liberator B-24J, przy użyciu którego alianci zrzucali powstańcom broń, amunicję i żywność.

Można także (choć z żalem) przeczytać, że we wrześniu 2006 r. spłonęła drewniana cerkiew z pocz. XIX w. p. w. Orędownictwa MB w Komańczy i że nieco wcześniej ten sam smutny los spotkał gotycki kościół św. Katarzyny w Gdańsku. W obu miejscowościach trwa już odbudowa zabytków.

Warto wspomnieć, iż Autorzy przewodnika związani są od lat z Polskim Towarzystwem Turystyczno-Krajoznawczym. Oboje piszą od wielu lat książki. Jedną z ostatnich (2005 r.) jest opracowanie „Nobliści znad Wisły, Odry i Niemna” – biografie 33 laureatów Nagrody Nobla urodzonych w Polsce w obecnych granicach naszego kraju i na Kresach Wschodnich oraz innych mających polskie korzenie. W 2006 r. ukazał się ich przewodnik „Gdańsk od środka”, a z dawniejszych opracowań trzeba wymienić m.in. „Ziemie Kielecką: panoramę turystyczną”, „Ponidzie”, przewodniki po Wiedniu i Paryżu. Są ponadto współautorami przewodników po Polsce dla wydawców zagranicznych – niemieckiego Baedekera i singapurskiego wydawnictwa APA.

Zainteresowanych ilustrowanym przewodnikiem po Polsce i innymi książkami Marii i Przemysława Pilichów odsyłamy na stronę internetową wydawnictwa MUZA SA www.muza.com.pl.



Redakcja

SZCZYTOWANIE W POLSCE

Przez kilka dziesięcioleci Wydawnictwo „Sport i Turystyka” dominowało na polskim rynku publikacji turystycznych, głównie przewodników, odgrywając też na nim wiodącą rolę. Pozycję tę zawdzięczało ono starannemu doborowi autorów, recenzentów i swoich kompetentnych redaktorów. Niestety, nie udało się znaleźć po 1989 r. wśród lawinowo wręcz powstających oficyn i w rezultacie „Sport i Turystyka” – zachowując tę nazwę dla redakcji, zostało wchłonięte przez Wydawnictwo MUZA SA. Coraz częściej oferuje czytelnikom tradycyjnie dobrze i oryginalnie przygotowane pozycje, nie należące wprawdzie do najtańszych, ale zdecydowanie górujące jakością nad masówką pewnej firmy, która zalewa nawet supermarkety.

Najnowszą rzeczą jest prezentowana pozycja, prowadząca na szczyty – niemal wyłącznie jednak nieznakowanymi trasami, poszczególnych pasm górskich w Polsce, ale i na nizinach. Może to być zachętą do zdobywania Korony Gór Polskich, aczkolwiek nie wspomina się jej. Nie jest to klasyczny przewodnik, jako że programowo autorzy podają informacje o środowisku przyrodniczym, w tym osobne karty poświęcając kolejnym parkom narodowym. Informacje praktyczne są ograniczone do krótkich wzmianek o znakowanych szlakach i schroniskach PTTK. Z uwagi jednak na specyfikę Gór Białskich warto by było wspomnieć „Chatkę Cyborga” – jedyne większe oparcie w tym regionie (s. 107). Podano główne szlaki poszczególnych obszarów i wybrane przejścia graniczne o charakterze turystycznym. Cennym pomysłem stało się zamieszczenie słowniczka geologiczno-geomorfologicznego, jako że wiedza z tego zakresu w społeczeństwie jest szczególnie niska. Ocenic go należy dobrze. Poza jedną literówką – *synkilna* (s. 406) zamiast *synklina*, sprostować należy formę *teras*: albo terasa, albo taras. W miarę obszerna jest literatura, aczkolwiek wyraźnie dominują opracowania dotyczące Karpat. Pomijając liczne pozycje recenzenta o Sudetach, trzeba było jednak dla ‘równowagi’ wymienić trzy tomy monograficznego przewodnika sudeckiego, opublikowane przecież przez „SiT”. Zgodnie ze współczesną tendencją oddziaływania na zmysł wzroku w książce, opatrzonej elastyczną okładką, zamieszczono liczne zdjęcia, na ogół o wysokich walorach. W rezultacie czytelnik otrzymał bardzo dobrą pozycję do wielokrotnego użytkowania. Tu pojawia się dyskusyjna wątpliwość, czy sensowne jest publikowanie przewodników – przeznaczonych w końcu dla pieszych turystów, dla tak rozległych obszarów, całej Polski. Trochę to grube i przy ciężkie.

Przy wnikliwym czytaniu ujawniło się nieco usterek i błędów – chyba zaważyło na tym brak recenzentów (przynajmniej nie są oni wymienieni), dla oszczędności? Byłoby to niedobrze. Mają one różny charakter i zostaną wymienione przykładowo. Wpierw o terminologii. Nie kociołki *zwietrzelinowe*, lecz wietrzeniowe (s. 45). Nachylone fragmenty konkretnych wzniesień to zbocza, podczas gdy *stok* oznacza jakąkolwiek nachyloną powierzchnię. Feny słusznie odniesiono do Sudetów, lecz w Beskidach wieją jednak halne: niby to samo, ale jednak o innej proveniencji (s. 132). Miejscami styl się pokręcił, np. *skalka z gnejsu z wieku młodopaleozoicznego* (s. 47). Błędny jest adres schr. PTTK na Śnieżniku: nie w Domaszkowie, lecz w Międzygórzu (s. 101). Wodospad Wilczki od 1997 r., pamiętnej powodzi, nie ma już 27 m wysokości. Nazwy *Sudety* nie nadał Ptolemeusz (s. 10), który oznaczył nią Rudawy czeskie, lecz na góry między Śląskiem a Czechami przeniósł ją dopiero w XVI w. Filip Melanchton. Na s. 17 widzimy nie szypoty (naturalne formy), lecz sztuczne stopnie na Kwisie. Na następnej nie chodzi o Przedgórze, lecz pogórza Izerskie i Kaczawskie. Szkoda, że nie wspomniano o Celtach pod Masywem Ślęży (s. 257). Trudno uznać Góry Kaczawskie za ‘stosunkowo młode’ (s. 11): ani pod względem wieku skał, ani formy – tu są właśnie najstarsze! Nie można identyfikować Trzebińskiego Lasu – nazwy własnej rzeczywistego lasu, z orograficzną formą *masyw Lipowca* (s. 114). Wprawdzie słowniki ortograficzne dopuszczają formę odmiany Bieszczady → Bieszczad, ale chyba większość mówi *Bieszczadów*.

A w ogóle najwięcej usterek dotyczy nazw. Ośrodek narciarski we wschodniej części Ziemi Kłodzkiej działa nie w Kamieniu, lecz Kamienicy (s. 97). Nie Bruski (s. 102), lecz Brusek. Nie Ciernik (s. 108), lecz Czernik. Nie Parszywka (s. 137), ale Praszywka. Niektórzy używają nazwy Prehyba, jednak oficjalna jest Przehyba (s. 168). Nie Stok Izerskie (s. 19), lecz Stóg Izerski – *vide* okienko obok! To tylko niektóre, ale mimo wszystko nieliczne potknięcia.

Podsumowując: zachęcam jednak do szczytowania z tym przewodnikiem!

Elżbieta Wołoszyńska, Marek Wołoszyński: *Polska. Góry, górk i pagórki*. (Warszawa): Sport i Turystyka MUZA SA (2007), 413 s.

Krzysztof R. Mazurski

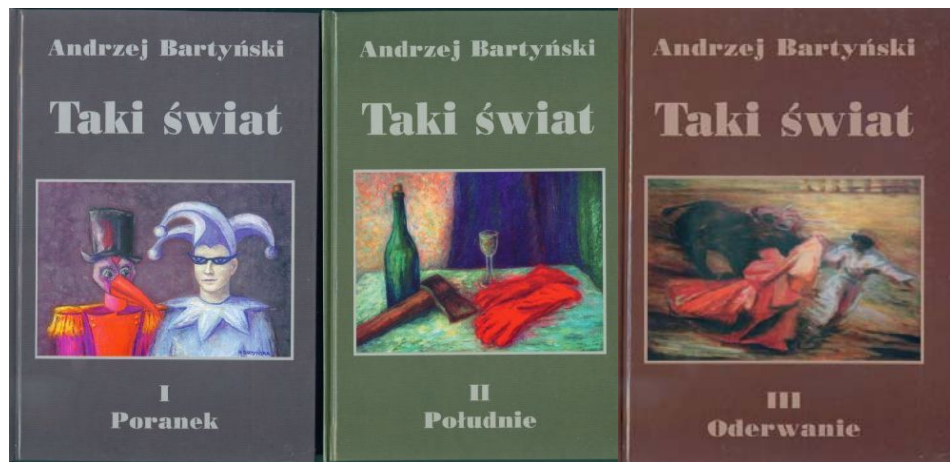
TWÓRCA NIEBANALNY

Andrzej Bartyński urodził się we Lwowie 25.05. 1934 r. z matki Antoniny z Kobielców-Nazarów i ojca prof. dr. Władysława Bartyńskiego, doktora praw i umiejętności politycznych, kapitana rez. WP. W okresie okupacji hitlerowskiej, za czynny udział w ruchu oporu jako łącznik AK, został wraz z całą rodziną aresztowany przez gestapo i osadzony w więzieniu na Łąckiego we Lwowie. W czasie przesłuchania dziewięcioletni Andrzej stracił całkowicie wzrok. Przez dwa lata był uczniem radzieckiej szkoły dla niewidomych we Lwowie, gdzie językiem obowiązującym stał się ukraiński i rosyjski. W maju 1946 r. opuścił Lwów i zamieszkał wraz z rodziną we Wrocławiu. W Łaskach k/Warszawy skończył z odznaczeniem szkołę podstawową dla niewidomych im. Tadeusza Czackiego, której dyrektorem był Zygmunt Serafinowicz, brat poety Jana Lechonia. Nie bez znaczenia była zawarta tam znajomość i przyjaźń z dramaturgiem Jerzym Zawieyskim i poetą-dziennikarzem Mikołajem Roztworowskim. W 1950 r. podjął naukę w I LO we Wrocławiu. W 1953 r. uzyskał maturę, a w 1962 r. ukończył filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim, pisząc pracę magisterską pod kierunkiem niezapomnianego i wspaniałego lwowianina prof. Jana Trzynałdowskiego. Dwujęzyczna polsko-włoska praca dotyczyła tłumaczenia „Opowiadań rzymskich” Alberta Moravii. Będąc uczniem liceum został członkiem Koła Młodych Pisarzy przy ZLP. W październiku 1956 r., w czasie tzw. odwilży, wraz z kolegami założył sławną na całą Polskę Wrocławską Grupę Artystyczną „Dlaczego nie” skupiającą młodych poetów, prozaików, aktorów i artystów plastyków. Jako poeta debiutował w 1956 r. wierszem „Rapsod o Jesienniu” opublikowanym we wrocławskim czasopiśmie „Życie Uniwersytetu”. W 1961 r. został członkiem ZLP. Dorobkiem literackim Andrzeja Bartyńskiego są tytuły poetyckie: „Dalekopisy” (1957), „Zielone wzgórza” (1960), „Komu rośnie las” (1965), „Ku chwale słońca” (1974), „Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie bar Cin-Cin” (1977), „Wojna, wyspa, skarabeusz” (1982),

„Wróć bo czereśnie” (1997), „Te są ojczyzny moje” (1999), trylogia poetycka „Taki Świat” (2001) – I tom „Poranek”, II t. „Południe”, III t. „Oderwanie” - Oficyna Wydawnicza SUDETY we Wrocławiu; współautor, współredaktor, autor tytułu i wstępu pierwszej w Polsce antologii poetów niewidomych „Przydział na świat” (1993); współautor antologii współczesnej poezji polskiej „Dojrzewanie w miłości” (2000). Ponadto liczne publikacje prasowe, radiowe i audycje telewizyjne. Bartyński jest wielokrotnym laureatem krajowych festiwali poetyckich „Kłodzka Wiosna Poetycka”. Dwa razy zdobył I nagrodę: za utwór „Masz cztery wymiary” oraz za „Gwar pieśni biesiadnej”. Jako literat był stypendystą rządu włoskiego. Był też na stypendium polskiego Ministra Kultury i Sztuki w Związku Radzieckim. W 1984 r. otrzymał Nagrodę M. Wrocławia za wybitne osiągnięcia w dziedzinie literatury. Drugą profesją Andrzeja Bartyńskiego jest pieśniarstwo. Koncertuje w kraju i za granicą. Odbył wiele podróży artystycznych: Czechy, Węgry, Rumunia, Wielka Brytania, Rosja, Niemcy, Ukraina, Włochy. Jest członkiem Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków. Andrzej Bartyński pełni wiele społecznych funkcji, jest:

- prezesem Dolnośląskiego Oddziału Związku Literatów Polskich we Wrocławiu,
- wiceprezesem Stowarzyszenia Klub Inteligencji Niewidomej RP, którego był pomysłodawcą i współzałożycielem,
- zastępcą redaktora naczelnego czasopisma „Nietakty”, organu Stowarzyszenia KIN RP,
- przewodniczącym komisji rewizyjnej Dolnośląskiego Oddziału Związku Ociemniałych Żołnierzy RP we Wrocławiu,
- członkiem Rady Fundacji „Trakt”.

Ze względów osobistych i kulturowo-sentymentalnych angażuje się w działalność Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. W 2001 r. był nominowany do Międzynarodowej Nagrody FILANTROP przyznawanej twórcom i artystom, którzy przekroczyli granice niemożliwości. W 2002 r. otrzymał prestiżową Nagrodę Październikową Wrocławia „dla najlepszych”, przyznaną przez Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, za trylogię poetycką „Taki świat” oraz wieloletnią działalność ma rzecz



pełnoprawnego udziału osób niepełno - sprawnych w życiu literackim i społecznym Wrocławia i Polski. W 2003 r. pomysłodawca, inicjator i organizator I Międzynarodowego Festiwalu Poezji w Polanicy-Zdroju „Poeci bez granic” (listopad). Bartyński otrzymał wiele odznaczeń państwowych, resortowych, regionalnych i organizacyjnych. Niektóre z nich to Krzyż Oficerski i Krzyż

Kawalerski OOP, Krzyż Armii Krajowej, Krzyż Partyzancki, Srebrny Krzyż Zasługi, Odznaka „Syn Pułku”, Medal KEN, Srebrny Medal Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej, Złoty, Srebrny i Brązowy Medal „Za Zasługi dla Obronności Kraju”, odznaka „Zasłużony Działacz Kultury”, odznaka „Budowniczy Wrocławia” i in. W 2004 r. otrzymał honorowe obywatelstwo Polanicy-Zdroju. W sierpniu 2005 r. został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski za wybitny wkład w rozwój kultury polskiej, a 21 września, na XI Zjeździe Ociemniałych Żołnierzy RP został odznaczony Medalem *Pro Memoria* przyznanym przez Ministra do spraw Kombatantów za utrwalanie pamięci o ludziach i ich czynach dla niepodległości Polski. Posiada wojskowy stopień oficerski i patent Weterana Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny.

www.pzn.hrubieszow.info/biuletyn5.htm



LISTY, OPINIE, DYSKUSJE

BO W ZAKOPANEM NIGDY NIE WIE SIĘ...

„Coroczne liczenia pogłowia kozic po obu stronach Tatr w ciągu ostatnich dziesięcioleci wykazały niestety katastrofalny ubytek tych zwierząt. W dekadzie 1988-1998 ich ilość zmalała u nas aż o połowę (ze 181 sztuk do 90), gwałtownie spadając również w Tatrach Słowackich. Obecnie wciąż utrzymuje się na regresywnym poziomie. W klasyfikacji Światowej Unii Ochrony Przyrody (IUCN) gatunek ten określany jest jako skrajnie zagrożony (kat. CR - *Critically Endangered*), choć podlega w Polsce całkowitej ochronie gatunkowej, również w myśl ustaleń Konwencji Berneńskiej i Dyrektywy Siedliskowej UE.”

Tomasz Borucki (net)

W ostatnim okresie na terenie całych Tatr dokonano spisu populacji kozic. Tendencja, jak usłyszałem z ust pracownika TANAPu, jest lekko spadkowa, jednym z czynników spadku stał się problem, jaki wystąpił po polskiej stronie Tatr. W stolicy polskich gór – Zakopanem, komercja zatacza coraz szersze kręgi. Całe Zakopane, nie tylko Krupówki, przypomina jedną wielką galerię handlową pod Tatrami. Obecnie w wakacje na ulicach tego kurortu przechadza się więcej ludzi niż na pasażach Aten, Paryża czy Barcelony. Można kupić korale, kierpce, oscypki, zrobić sobie zdjęcie z nadmuchanymi kukłami gazdy i gaździny. Odbyć wycieczkę całodniową na Gubałówkę, a dla kurażu wypić szejka w miejscowym McDonalddie. Po Słowackiej stronie jakby bardziej ubogo, nie ma tego rozmachu, tego tłumu, wszyscy jakby zorientowani na coś innego. W takim Zuberku np. nawet nie można porządnie się zabawić. Domy jakby mniej okazałe, płotów prawie nie ma, o dziwo, bardzo mało psów pilnujących posesji i ogólnie mało rozrywkowo. Słowacy mają słabsze piwo, a wystrój ich restauracji pozostawia dużo do życzenia, to nie to, co u nas. No fakt, nasi południowi sąsiedzi mają baseny termalne, warto tam pojechać, zresztą jest tam prawie jak w domu, bo większość moczających się gości to łapiący grzyba skóry Polacy. Doliny, przykładowo Juranowa, tuż przy granicy, a nie ma tak okazałego parkingu jak przy wlocie do Doliny Kościeliskiej, niedługo może tam postawimy hipermarket, aby sobie turyści używali na promocjach. Generalnie dbamy o ofertę, krajobraz komponuje się z potrzebami rynkowymi. Każda knajpa w Zakopanym ma na uwadze przyciągnąć jak najwięcej turystów; aby interes kręcił się jak należy, trzeba powiesić na ścianie czaszkę kozicy, to taki dowód, co by każdy cepr wiedział, że jest w Tatrach. Na Słowacji mają gorzej – jak się ustrzeli kamzika-kozicę, każda czaszka jest rejestrowana, ma swoje papiery i nie można jej, ot tak sobie, posiadać. W każdej chwili ktoś może przyjść i zażądać papierów. U nas na szczęście szerzy się kłusownictwo. Kozic jest tyle, że starczy czaszek z rogami dla każdej knajpy i restauracji. Kozice i tak zdychają, a w górach zima ostra, lepiej jak ich główki zawisną na ścianach barów piwnych, co by je każdy przy konsumpcji „Tatry” mógł sobie dobrze obaczyć. Papierów u nas żadnych, gdzie tam, mieć nie trzeba, a i nikt się nie spyta, kto dał nam tak piękne trofeum. Następnym razem, jak będą liczyć kozice, niech się nie trudzą chodząc po graniach. Niech ci z TPN-u wezmą kinkiety i spiszą nasze górskie kozice na komercyjnych ścianach Krupówek. Hej, nasze góry, co by to było, gdyby kłusowników w Tatrzańskim Parku Narodowym nie było? Gdyby wszyscy myśleli, tak jak Słowacy? Przyjeżdżajcie do nas tłumnie, co by pochodzić w jednym kierunku po Orlej Perci, pooglądać Krupówki, zatłoczone do oporu szlaki turystyczne; w naszym piknym Tatrzańskim Parku Zoologiczno-Krajobrazowym.

- Hej, Panocki, węźcie i sakiewki.

- Hej! Do Łobaczania!!!

Jan Wieczorek

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA JURY **XVI OGÓLNOPOLSKIEGO PRZEGLĄDU KSIĄŻKI KRAJOZNAWCZEJ** **I TURYSTYCZNEJ**

Jury XVI Ogólnopolskiego Przeglądu Książki Krajoznawczej i Turystycznej obradowało 14-15.09. 2007 r. w poznańskiej siedzibie Regionalnej Pracowni Krajoznawczej pod przewodnictwem Mariusza Kołodziejczaka (Poznań). Do konkursu rekomendowano 96 publikacji nadesłanych przez wydawców oraz zgłoszonych zgodnie z regulaminem przez członków Komisji Krajoznawczej Zarządu Głównego PTTK i Wielkopolskiego Klubu Publicystów Krajoznawczych. Książki oceniano w pięciu kategoriach. Jury postanowiło przyznać następujące nagrody:

W KATEGORII – ALBUMY KRAJOZNAWCZE:

1. „Barokowe dwory i pałace w Wielkopolsce”, Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury, Poznań – za popularne ujęcie materiałów naukowych i udaną kompozycję treści z ciekawymi ilustracjami;
2. „Przyroda Wielkopolski”, Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury, Poznań – za wysoki poziom techniczny wydania, wszechstronność ujęcia tematu i logikę umieszczenia ilustracji;
3. „Fortyfikacje”, Carta Blanca, Warszawa – za nowatorstwo formy i treści.

W KATEGORII – PRZEWODNIKI:

1. „Koleje”, Carta Blanca, Warszawa – za podjęcie ciekawej tematyki, kompletność i komunikatywność podanych informacji oraz poziom artystyczny ilustracji;
2. „Poznań nastolatka”, Wydawnictwo Miejskie, Poznań – za śmiałe i oryginalne rozwiązanie ilustracyjne oraz próbę dotarcia do młodego odbiorcy;
3. „Małopolska”, BOSZ, Olszanica – za wysoki poziom techniczny i kompozycję.

W KATEGORII – MONOGRAFIE I INNE OPRACOWANIA KRAJOZNAWCZE

1. „Jak dawniej po Tatrach chadzano”, Tatrzański Park Narodowy, Zakopane – wśród wielkiej liczby monografii obszaru tatrzańskiego wydawnictwo to wyróżnia się wykorzystaniem najnowszych informacji i starannym poziomem poligraficznym;
2. „Drewno i architektura. Dzieje budownictwa drewnianego w Polsce”, Arkady, Warszawa – za sugestywne przedstawienie piękna konstrukcji drewnianych, które tworzy faktura materiału oraz za wielką staranność techniczną i poligraficzną;
3. „Kościoły Poznania”, Wydawnictwo Debiuty, Poznań – za udane połączenie w jednej publikacji informacji o zabytkowej i współczesnej architekturze sakralnej Poznania.

W KATEGORII – INFORMATORY KRAJOZNAWCZE I FOLDERY:

1. „Wędrownik”, Centrum Fotografii Krajoznawczej PTTK, Regionalna Pracownia Krajoznawcza, Łódź – za wszechstronne informacje promujące na ogół niedoceniany region łódzki oraz za koncepcję wydawniczą podporządkowaną temu celowi;
2. „Osadnictwo olęderskie w gminie Nowy Tomyśl”, Urząd Miejski, Nowy Tomyśl – za udaną lokalną inicjatywę wydawniczą promującą gminę oraz za wysoki poziom techniczny i dobór ilustracji;
3. „Polskie latarnie morskie”, Wydawnictwo ZET, Wrocław – za kompozycję i układ treści.

W KATEGORII – MAPY I ALTASY:

1. „Atlas gór Polski”, ExpressMap, Warszawa – Jury uznaje „Atlas gór Polski” za rewelacyjną publikację pod względem kompozycji, zawartości merytorycznej, ilustracji i poziomu technicznego;
2. „Województwo Śląskie”, Śląska Organizacja Turystyczna, Katowice – za wieloaspektowe rozwiązanie wydawnicze zapewniające funkcjonalność;
3. „Atlas zabytków Polski”, Carta Blanca, Warszawa – za bogatą informację o lokalizacji zabytków w Polsce. Jury rekomenduje do uhonorowania nagrodą pozaregulaminową przewodnik „Tarnów. Perła renesansu”, Wydawnictwo Bezdroża, Kraków. Co do pozostałych nagród pozaregulaminowych pozostawia inicjatywę Zarządowi Wielkopolskiego Klubu Publicystów Krajoznawczych.

* * *

ROK SZLAKÓW TURYSTYCZNYCH PTTK – 2007
w Przedszkolu nr 147 we Wrocławiu



(Fot. nr 7021 – Andrzej Trybuła)

WRĘCZANIE PRZEDSZKOLAKOM ZDOBYTYCH ODZNAK
TURYSTYKI PIESZEJ „SIĘDMIOMIŁOWE BUTY” W STOPNIU
SREBRNYM WRAZ ZE ZNACZKAMI ROKU SZLAKÓW –
WRĘCZA JULIAN SZYMSZON WRAZ Z DYREKTOR
PRZEDSZKOLA IWONĄ KUBLIK W OBECNOŚCI RODZICÓW
DZIECI.



POROZUMIENIE ODDZIAŁÓW PTTK WOJ. DOLNOŚLĄSKIEGO
ODDZIAŁ WROCŁAWSKI PTTK – ODDZIAŁ PTTK WROCŁAW FABRYCZNA
20 czerwca 2007r

opracował Julian Szyszczon

Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze
ODDZIAŁ WROCŁAWSKI
Wrocławski Klub Piechurów "PERPEDES"
im. dr. Bronisława Turonia
50-106 Wrocław, Rynek-Ratusz 11/12

„Na Szlaku” - miesięcznik turystyczno-krajoznawczy. Czasopismo Oddziału Wrocławskiego PTTK,
odznaczone Złotą Honorową Odznaką PTTK.

Redaktor Naczelny: : **Krzysztof R. Mazurski**

Sekretarz Redakcji: **Andrzej Rumiński**

Zespół Redakcyjny: **Wojciech Radliński**, **Paweł Rumiński**

Redakcja techniczna, łamanie i opracowanie graficzne: **Andrzej Rumiński.**

Stale współpracują: **Henryk Paciej**, **Juliusz Wysłouch**

Adres Redakcji: Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław. tel. 071 343 0344

Kontakt pocztą elektroniczną po kliknięciu na nazwisko. ISSN 1230-9931.

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej. Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane. Przedruki tylko za podaniem źródła. Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

Redakcja będzie wdzięczna za wpłaty w formie darowizny na dobro czasopisma dokonywane na konto Oddziału Wrocławskiego PTTK w BZ WBK SA Oddział Wrocław nr 38 1090 1522 0000 0000 5201 9117 z zaznaczeniem „Na Szlaku”.

Drukowane numery archiwalne (w miarę posiadania) do nabycia w Oddziale Wrocławskim PTTK.